EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 lutego 1938 r. Rok V Nr 6 (109)

Treść numeru:

Trzeba budować! Budować! Budować!

Demokracja polska w walce z nędzą kraju

Kończąc w jednym z poprzednich numerów EPOKI artykuł swój p. n. „Jak wyzwolić energię gospodarczą Polski", stwierdziliśmy, jako pierwszy tego wyzwolenia warunek: „Wielka własność ziemska, wielki skartelizowany kapitał finansowy, władający kluczowymi gałęziami przemysłu, muszą być poskromione przez Państwo".

Zastanówmy się z kolei nad tym, w jakiej formie ma się to poskromienie dokonać? Jeśli chodzi o ziemie obszarnicze, to tutaj żadne nie nastręczają się wątpliwości. Zasada wywłaszczenia tych ziem na rzecz chłopów — drobnych rolników, którzyby, osiadłszy na nich, własną je uprawiali pracą, zyskała sobie w chwili obecnej już powszechne niemal uznanie. W obronie przestarzałego przywileju dworów ziemiańskich nie występują dziś nawet postępowsze koła katolickie. Tej szerokiej jednomyślności nie znajdujemy jednak w postawie demokracji wobec karteli przemysłowych. Gdy jedni usunięcie zła widzą w rozwiązaniu karteli, drudzy poprzestają na żądaniu rozpostarcia nad nimi kontroli.

Naszym zdaniem ani jeden środek ani drugi zagadnienia nie rozstrzygają, lecz tylko co najwyżej rzeczywiste jego rozstrzygnięcie odwlekają. Naszym zdaniem, wielkie skartelizowane przemysły kluczowe powinny, w pewnej mierze, podzielić los latyfundiów magnackich: z instrumentu zysków, sycących odzielne rodziny, powinny stać się narzędziem zaspokajania słusznych potrzeb całego społeczeństwa. W tym celu powinny być wywłaszczone i przejęte przez Państwo.

O rozwiązaniu karteli mówić mogą tylko marzyciele. Jakiż bowiem sposób mamy na to, aby je rozwiązać naprawdę, aby im kres położyć rzeczywiście? Aby zapobiec temu, by kartel, rozwiązany dzisiaj, pod taką lub inną formą nie odrodził się jutro? Wszak nie posiadamy żadnej egzekutywy, która by mogła przeszkodzić panom X, Y i Z, decydującym osobistościom tego czy innego kartelu, zjechać się w dzień po jego urzędowym rozwiązaniu gdzieś w Paryżu, Wiedniu czy Berlinie i zawrzeć niepisane ale niemniej skuteczne „gentelman agreement", któreby w treści swej odpowiadało jaknajdokładniej właśnie rozwiązanemu kartelowi. I bylibyśmy najzupełniej

bezsilni, gdyby w trzy dni później samodzielni dyrektorzy do przedwczoraj skartelizowanych fabryk doszli — oczywista każdy z osobna, samodzielnie, bez żadnej łączności między sobą, do przekonania, że kalkulacja rentowności ich fabryk wymaga ponownej podwyżki cen, i to podwyżki cen o dokładnie tę samą sumę. Nie mielibyśmy dokumentów kartelowych, nie mielibyśmy dowodów istnienia kartelu. Przykład, który tu dajemy, nie jest bynajmniej zaczerpnięty z fantazji. Oto niedawno rozwiązał się kartel papierniczy w Polsce. Rozwiązał się dlatego, bo Rząd nie chciał się zgodzić na podwyżkę cen papieru (przy istnieniu kartelu Rząd ma pewien wpływ na jego politykę cen). I zaraz po rozwiązaniu kartelu nastąpiła — właśnie ta podwyżka, której Rząd nie chciał przyznać kartelowi. Aryjsko - antysemiccy dyrektorzy koncernu „Steinhagen i Saenger", żydowscy właściciele koncernu „Kluczewskiej", przedstawiciele belgijskich kapitalistów z „Mirkowskiej" twierdzą zgodnie, że akurat tak im się „kalkuluje". Dokumentów porozumienia niema. Nie każda Międzynarodówka kolportuje szeroko swe uchwały... Ten przykład „Centropapieru" powinien zmusić do zastanowienia się zwolenników samego tylko rozwiązania karteli.

Od „kontroli karteli" chyba jeszcze mniej się można spodziewać. Powtarzamy: szkodliwość karteli leży nie w tych czy innych zręcznych kombinacjach pana X. lub pana Y. Takie kombinacje mamy zawsze, przy każdym, nie tylko monopolistycznym kapitaliźmie. Szkodliwość karteli dla rozwoju gospodarczego leży w możliwości zdobywania zysku nie przez rozwijanie, ale przez ograniczanie życia gospodarczego. Ta możliwość powstaje w wyniku szeregu procesów gospodarczych, nieuniknionych i mało zależnych od woli jednostki. Skoro ta możliwość raz jest dana, kartel będzie, jak feniks, odradzał się wciąż na nowo, niezależnie od wszelkich zakazów, będzie zmieniał swe formy prawne, swe zewnętrzne kształty, ale będzie trwał. Oczywista, będzie można wydusić od niego pewne ustępstwa, wymódz na nim to i owo. Ale im bardziej będzie się próbowało nań naciskać, tym wyraźniejszy stanie się fakt: unieszkodliwić raz na zawsze tendencje kartelowe można tylko, wyrywając z rąk baronów kartelowych kierownictwo przemysłu.

Wywłaszczenie powinno odbyć się bez odszkodowania. Mówimy o tym bynajmniej nie z jakiejś niechęci do pp. obszarników i kartelowców. Nie chcemy wysuwać argumentów natury moralnej i chrześcijańskiej, chociaż takich argumentów znalazłoby się sporo (mówił o nich — w odniesieniu do obszarników — niedawno człowiek tak głęboko religijny, jak ksiądz Fr. Machay). Traktujemy sprawę ze strony ściśle gospodarczej. Poprostu: Polski nie stać na odszkodowanie pp. obszarników i kartelowców. Pomijamy już te okoliczności, że spora część tego odszkodowania odrazu uciekłaby zagranicę. Chodzi o to, że niema w Polsce rozporządzalnych kapitałów społecznych, które możnaby bez szkody dla całości gospodarstwa użyć na odszkodowanie dla dotychczasowych panów dworów i karteli. I niema czasu czekać, aż takie kapitały mogłyby się zebrać. To tylko ten „Czas" z ul. Szpitalnej, „Czas" zjednoczonej magnaterii obszarniczo - kartelowej ma zawsze czas, jak mówi stara gadka. Ale Polska, ale gospodarstwo społeczne Polski, powstrzymywane w rozwoju od dwudziestu lat — przepraszam, od szeregu wieków, przez mocodawców panów z „Czasu" lub ich protoplastów, to gospodarstwo niema czasu i nie może czekać. Nie wolno czekać cierpliwie demokracji polskiej. „Polska C", którą ona ma zbudować na nowo, to nie tylko trójkąt, którego wierzchołkiem jest Radom, a podstawą łuk Karpat. To „Polska Cała", to teren całego państwa od Karpat po Suwałki i aż po bagna poleskie. A budować trzeba będzie na nowo wszystko. Nawet te gałęzie produkcji, które pozornie jeszcze trzymają się na pewnym poziomie.

By sobie uzmysłowić ogrom potrzeb naszego gospodarstwa społecznego, warto rzucić okiem na zbiór referatów zeszłorocznego kongresu inżynierów. Stwierdzono tam: oto, by każdy obywatel Polski mógł kupić tylko jedno ubranie na rok (ile ich kupuje przeciętny, „statystyczny" Anglik lub Amerykanin?), trzeba by nie tylko puścić cały nasz przemysł włókienniczy na trzy zmiany, ale jeszcze dobudować trzecią część. A przecież włókiennictwo, to jedna z najlepiej rozbudowanych gałęzi naszego przemysłu. W innych jest o wiele, wiele gorzej. Tylko wyjątkowość nędzy polskiej nie daje nam odczuć wyjątkowej nikłości naszego aparatu produkcyjnego. A przecież obóz demokracji nie może budować swych perspektyw gospodarczych na tej nędzy. Musi on jej usunięcie traktować jako naczelny punkt swego programu. A to znaczy: trzeba budować, budować i jeszcze raz budować. Trzeba budować w przenośnym i dosłownym tego pojęcia znaczeniu! Trzeba tworzyć bogactwo ziemi i bogactwo ludu, który tę ziemię zamieszkuje. Bogactwo, które wyraża się zarówno w warsztatach pracy, jak w kulturze pracowników. Zarówno w orężu, gotowym do obrony kraju, jak w samowiedzy obywatela-demokraty, który w służbie tej obrony nie cofnie się przed złożeniem najwyższej ofiary.

Do naszych Czytelników

ZWYCIĘSTWO DEMOKRACJI TO NIE TYLKO REALIZACJA POTRZEB DNIA DZISIEJSZEGO — TO TRYUMF HASEŁ JAKIE PRZEZ WIEKI JEDNOCZYŁY NAJLEPSZE SIŁY DO WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ NARODU I WOLNOŚĆ CZŁOWIEKA, WALKI O SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNĄ. ISTNIEJE NIEPRZERWANA I ZAWSZE ŻYWA WIĘŹ MIĘDZY KAŻDYM DNIEM ZMAGANIA SIĘ SIŁ SPOŁECZNYCH WCZORAJ I DZIŚ.

DEMOKRACJA POLSKA JEST W TYM SZCZĘŚLIWYM POŁOŻENIU, ŻE MA ZA SOBĄ TRADYCJĘ JEDNĄ Z NAJBOGATSZYCH W EUROPIE, ŻE MOŻE CZERPAĆ Z BOGATYCH DOŚWIADCZEŃ PRZESZŁOŚCI WYKUWANEJ NA WŁASNYM GRUNCIE, ZADAJĄC KŁAM FAŁSZERZOM BREDZĄCYM O OBCYCH WZORACH.

DEMOKRACJA POLSKA TO JEDYNY NURT NASZEGO ŻYCIA, GDZIE I W CZYNIE I W MYŚLI WYKRACZALIŚMY POZA SZLACHECKI ZAŚCIANEK, WCHODZILIŚMY NA SZEROKI GOŚCINIEC MYŚLI EUROPEJSKIEJ, BRALIŚMY CZYNNY UDZIAŁ W KSZTAŁTOWANIU DZIEJÓW LUDÓW I NARODÓW EUROPY.

DEMOKRACJA DZISIEJSZA CZUJE SIĘ SPADKOBIERCZYNIĄ TEGO WSPANIAŁEGO DOROBKU. SPADKOBIERCZYNIĄ NIE TYLKO TRADYCJI, NIE TYLKO ZASŁUG ZDOBYTYCH PRZEZ WIELKICH POPRZEDNIKÓW — ALE PRZEDE WSZYSTKIM SPADKOBIERCZYNIĄ ZAHARTOWANEGO W BOJACH OREŻA — IDEOWEGO DOROBKU I HISTORYCZNEGO DOŚWIADCZENIA. Z DNIA NA DZIEŃ WZRASTA W SPOŁECZEŃSTWIE ŚWIADOMOŚĆ TEGO ZWIĄZKU, ŚWIADOMOŚĆ, ŻE PODEJMUJEMY WALKĘ W PUNKCIE, W KTÓRYM PRZERWANO JĄ WCZORAJ. ROZWOJOWI SIŁ DEMOKRATYCZNYCH OSTATNICH LAT I MIESIĘCY TOWARZYSZY WZMOŻONE ZAINTERESOWANIE DZIEJAMI POLSKICH WALK WYZWOLEŃCZYCH, WALK SPOŁECZNYCH I REWOLUCYJNYCH, W SŁUSZNYM PRZECZUCIU, ŻE WCZORAJ WYKUWAŁO SIĘ NASZE DZIŚ, ŻE TAM JEDYNIE ODKRYĆ MOŻEMY GENEALOGIĘ TERAŹNIEJSZOŚCI.

ZJAWISKO TO JEST NIEWĄTPLIWIE DODATNIM OBJAWEM. ZAWSZE W DZIEJACH OFENZYWY SIŁ WALCZĄCYCH O POSTĘP TOWARZYSZYŁ RENESANS ŻYWOTNYCH WĄTKÓW PRZESZŁOŚCI — JAK ZAWSZE OREŻEM REAKCJI BYŁO ZAKŁAMYWANIE I GRZEBANIE WSKAZAŃ HISTORII. REAKCJA POLSKA MA SZCZEGÓLNE POWODY UNIKANIA TEJ KONFRONTACJI. ILEŻ JEJ POSUNIĘĆ MOŻLIWYCH BYŁO TYLKO DZIĘKI TEMU, ŻE SFAŁSZOWAŁA, UKRYŁA PRZED SPOŁECZEŃSTWEM WŁASNĄ PRZESZŁOŚĆ? I CZYŻ DZISIAJ DO OBCYCH ODWOŁUJĄC SIĘ WZORÓW NIE STWIERDZA TYM MIMOWOLI, ŻE ZAWSZE BYWAŁA ICH NIEWOLNICĄ?

CZYNIĄC ZADOŚĆ OGÓLNEMU ZAINTERESOWANIU I BEZPOŚREDNIEJ POTRZEBIE, REDAKCJA „EPOKI" POSTANOWIŁA WPROWADZIĆ SPECJALNY DZIAŁ POŚWIĘCONY HISTORII. NIE O AKADEMICKIE PRZYCZYNKI BĘDZIE TU CHODZIŁO, LECZ O ŻYWE ARGUMENTY W TOCZONEJ PRZEZ NAS CODZIENNEJ WALCE O POSTĘP, BĘDZIE CHODZIŁO O POGŁĘBIENIE O CAŁĄ PRZESZŁOŚĆ NASZEJ MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ.

REDAKCJA EPOKI.

Prawdy żywotne Narodu Polskiego

Z GENEALOGII POLSKIEJ DEMOKRACJI

Nad Wisłą i Wartą zrodziła się polska myśl demokratyczna. Zrodziła się z głębokiej tęsknoty narodu do wolności, z istotnych potrzeb zbrojnej walki o Niepodległość, z szlachetnego porywu najlepszych synów wszystkich warstw społecznych, z ich rewolucyjnych dążeń do wyzwolenia ludu. Importowanym z zewnątrz, pseudonarodowym i antynarodowym totalizmom wstecznictwa i ciemnoty przeciwstawia demokracja polska chlubną i wiecznie żywą, rdzennie narodową tradycję wolności i postępu.

***

Z pism „zapomnianego" myśliciela XIX wieku, Henryka Kamieńskiego (1812—1865) przytaczamy szereg fragmentów, w których zawarły się nieprzemijające prawdy polskiego życia narodowego. Kamieński był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli pokolenia, które w naukach i doświadczeniach przegranego powstania listopadowego szukało wskazań dla przyszłej walki o niepodległość. Syn generała, poległego w r. 1831 w pamiętnej bitwie pod Ostrołęką, Kamieński jako niespełna dziewiętnastoletni chłopiec zaciągnął się pod sztandary powstańcze i jako żołnierz czwartego pułku ułanów a później jako adiutant Skrzyneckiego wziął udział w wojnie z caratem, był odznaczony krzyżem Virtuti Militari i ranny. W r. 1842 Henryk Kamieński wypływa w Warszawie, gdzie bierze żywy udział w ruchu umysłowym, ogniskującym się dokoła wydawanego tam przez Hipolita Skimborowicza i Edwarda Dembowskiego „Przeglądu Naukowego". W 1843 r. uchodzi, podobnie jak Dembowski, do Poznania, który był w owym czasie prawdziwym Piemontem Polski walczącej. Tu Karol Libelt i Jędrzej Moraczewski organizowali polską demokrację niepodległościową i formułowali jej ideologię. I tu Kamieński w pracach, zdumiewających wszechstronną wiedzą i przenikliwością polityczną stworzył swój demokratyczny program powstania narodowego. Walkę narodu polskiego o wolność rozumiał Kamieński — podobnie, jak wszyscy współcześni mu przedstawiciele ruchu niepodległościowego — jako nierozerwalnie związaną z walką demokracji europejskiej przeciw absolutyzmowi i władztwu przywileju. Przyczyny upadku powstania listopadowego widział w tym, że kierownicy jego nie umieli trafić do ludu, jedynej siły, zdolnej do walki ze starym porządkiem, którego ofiarą był i naród polski. Przyszłe powstanie narodowe, jeżeli ma zwyciężyć, musi stać się powszechną „wojną ludową" przeciw despotyzmowi i feodalizmowi, musi stać się rewolucją demokratyczną, która wywalczy ludowi ziemię a narodowi niepodległy byt w demokratycznej republice. W ten sposób Kamieński był jednym z tych, którzy na gruncie polskim przygotowywali wielką „wiosnę ludów" 1848 roku. W poznańskim okresie jego działalności powstały dwie najważniejsze prace: „O prawdach żywotnych narodu polskiego" (1844) i „Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego spoeczeństwa" (1843-45) — z których pochodzą przytoczone poniżej fragmenty.

EPOKA

***

DLACZEGO POLSKA UTRACIŁA NIEPODLEGŁOŚĆ?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, dosyć jest wejrzeć w stan ludu trzymanego w poddaństwie, na przywilej, który człowieka robił własnością, na stan powszechny ucisku najliczniejszej klasy, na której główna siła narodu i cała nadzieja obrony ojczyzny leżały. Czyliż masa pognębiona mogła na wzór wolnych ludzi tchnąć zapałem świętym niepodległości? Niewolnik nie zna Ojczyzny, która nie jest jemu matką, ale barbarzyńską macochą, która zamiast opieki ma dla niego tylko nędzę i zhańbienie niewoli, ucisk i plagi.

Uległa Polska obcej przemocy dlatego, że garstka uprzywilejowanych, przewodniczących obronie jej bytu, nie miała

nic wspólnego z masą narodu, przechowywała interes własny, na niesprawiedliwości oparty a powszechnemu przeciwny.

LUD GWARANTEM NIEPODLEGŁOŚCI

Kto nie wierzy w zapał i popęd mas, kto myśli, że ten z góry tylko udzielać się może, że od jednego człowieka lub kilku ludzi zależy jedynie zbawienie ojczyzny, ten cały lud, cały kraj uważać może tylko za zbiór narzędzi biernych, samych przez się niezdolnych myśleć i pojmować, jeśli ich ten człowiek i całe jego stroonnictwo popychać nie będą.
Lecz gdyby tak było, gdyby naród nasz miał dopiero od kilku ludzi czerpać zapał wojenny do zbawienia ojczyzny, gdyby cały lud nie był go zdolny, nie śmielibyśmy powtarzać naszą piosenkę: jeszcze Polska nie zginęła.

Kiedy we Francji po sławnej rewolucji 89 roku wysypały się masy republikanów, duchem wolności zagrzanych, przeciwko despotom całej Europy na zgubę rzeczypospolitej sprzysiężonym, żartowano sobie z tego wojska niewyćwiczonego, bez obuwia, bez oficerów, bez generałów. Dopiero doświadczenie przekonało, że duch wolności, który w serca ludzkie zestąpił, wlał w każdego żołnierza popęd śmiałego przedsięwzięcia i niepohamowaną porywczość, rzeczy zupełnie nieznane do owego czasu.

Francja w 93-m roku wojskiem ludowym bez wodzów, których dopiero szukała i tworzyła, obroniła swoje granice przeciwko despotyzmowi całej Europy. W roku 13-m i 14-m, kiedy zamiast wojska ludowego miała najdzielniejszego wodza i wojsko niezrównane, uległa, bo lud był już tylko świadkiem tych wypadków a sam broni nie pochwycił, której do ręki nie umiało mu podać despotyczne cesarstwo, pod którym przygasła masy samodzielność.

Francja ogołocona ze wszystkiego zwyciężała za rzeczypospolitej i granic swoich nie dała naruszyć a upadła za Napoleona i najeżdżana została, bo inaczej się walczy dla wolności a inaczej dla człowieka...

EGOIZM UPRZYWILEJOWANYCH PRZESZKODĄ W ODZYSKANIU NIEPODLEGŁOŚCI

Niechaj szlachta i wszyscy uprzywilejowani pomną, że bez nich odbędzie się odrodzenie Polski, jeżeli z potrzebami wieku postępować nie będą, że w takim razie na miazgę ich zetrze wystąpienie nowego, potężnego żywiołu.

Gdyby klasa uprzywilejowana i użytkująca własny interes nad zbawienie ojczyzny przekładała i szkaradnym egoizmem wiedziona, lub ciemnotą zaślepiona jeszcze, sprzeciwiać się chciała przetworzeniu naszego ciała społecznego i przyznania własności ziemskiej ludowi wiejskiemu — gdyby takim sposobem nie mogła się odbyć rewolucja ludowa w powszechnej całego narodu jedności, alc walką wewnętrzną i rozlewem krwi oznaczyć się musiała, niechaj wtenczas jakimkolwiek kosztem nastąpi, byle się stała...

Nie zapominajmy, że Francuzi wraz z nieprzyjaciółmi ojczyzny zgubę jej knowali, że następowali z cudzoziemskimi wojskami na jej ziemię, że im poddali Tulon i flotę francuską, że całą ludnością Wandei, opatrzoną przez wrogów w broń i pieniądze, prowadzili domową wojnę, ażeby dopomóc obcej napaści! Że takimi kontrrewolucjonistami z małym bardzo wyłączeniem byli wszyscy, którzy stracili cokolwiek na zmianie dawnego porządku, na zniesieniu przywilejów, obrażających ludzkość. Gdyby podobne następstwa objawiły się u nas i podobne łączenie się z wrogami, bodajby je doścignęła taka sama srogość, nie tak, jak dawniej, kiedy żyć i działać dozwolono haniebnej Targowicy.

DEMOKRACJA SIŁĄ ZBROJNĄ

Istotne zanczenie naszej narodowości jest postęp.

Od żądzy niepodległości, od miłości ojczyzny, do najwznioślejszych uczuć demokratycznych, do miłoś.. ludu jest tylko jeden krok.

Pracować nad rozwijaniem wyobrażeń demokratycznych jest najświętszym każdego Polaka obowiązkiem, bo tu leży istota naszej narodowej siły.

NIERÓWNOŚĆ SPOŁECZNA

Użytkowanie z człowieka przez człowieka najwyraźniej ma miejsce, jeżeli jedni dźwigają ciężar, przypadający drugim. Jest to rodzaj przymusu bezpośredniego, funkcjami politycznymi dokonanego nad słabszymi — równa się bowiem prostemu zaborowi. Rażącą jest rzeczą, aby ci ludzie, których społeczność nie stawi w możności korzystania z dobrodziejstw towarzyskich, którymi drogi do pracy nie otwiera, ponosili jego ciężary zastępnie za możniejszych i użytkujących. Jeden z najwyraźniejszych przykładów tego rodzaju przedstawia nam Anglia, gdzie wielka liczba ludu... ponosić musi ciężki podatek na korzyść bogatych właścicieli ziemskich idący i za chleb do zarobienia trudny opłacać ciężkie cło zbożowe, wzbogacające niektóre klasy, zapewniając im wyższy dochód z ziemi, w ich posiadaniu będącej.

Ten naród jest najbogatszym, wśród którego najmniej jest nędzy.

Ani przepych Azjatów, ani zbytki angielskich lordów nie świadczą o bogatości narodów, których istotne ubóstwo przejawia się w nędzarstwie niewoli lub proletariatu.

Jedni obfitują w zbytki a większość cierpi nędzę, klasa pewna, *status in statu*, jest bogatą a naród ubogi.

Tego ostatniego rodzaju ubóstwo znane jest powszechnie pod nazwą proletariatu, który jest ogromną klasą społeczeństwa, nie mającą żadnej rękojmi pozyskania środków do życia i otrzymania je w zamian swojej pracy. Stan cały, wtrącony w otchłań ubóstwa a nie mogący z niej się wyrwać, dopóki społeczność nie postawi go w możności skutecznego pracowania, której mu braknie na jego nieszczęście, ale nie z jego winy — nabawiony sztucznym kalectwem i wyparty z rzędu społeczeństwa, nadaremnie woła: pracy, chleba. Towarzystwo zaledwie mu odpowiada niekiedy skąpą i poniżającą jełmużną — a zadosyćuczynienia odmawia.

Każdy człowiek musi być postawionym w możności pracowania według swych sił i powołania.

Społeczność winna jest każdemu człowiekowi udzielić możności pracowania.

Prawo do pracy jest więc zasadą, której urzeczywistnienie jest zadaniem materialnego bytu społeczeństwa.

Ubóstwo obok dostatku... jest... dowodem, że dane stosunki towarzyskie przetrwały swoją potrzebę i niedostatecznymi się stały.

PRACA W PRZYSZŁYM USTROJU

Praca, powołaniem wyłącznie rządzona, była by najwyższą używalnością duchową dla człowieka. Ciśnięto by się do niej tłumnie i z zapałem, pracować było by rozkoszą, o którą by się wszyscy dobijali, owoce swoich usiłowań poświęcając społeczeństwu. Większym szczęściem było by oddawać się pracy, aniżeli z niej pożytkować... Praca by się rozdzielała stosownie do ludzkich sił... bogactwo zaś rozdzielało by się stosiwnie do potrzeb.

OŚWIATA DLA WSZYSTKICH

Oświata jest sztucznym wykształceniem dzielności człowieka... jest rzeczą, która się wszystkim ludziom bez wyjątku i zarówno od całego społeczeństwa należy. Wyłączność oświaty... jest... tamowaniem dzielności ludzkiej pracy i zaprzeczeniem do niej prawa.

O POEZJI LUDOWEJ

Poeta powinien w lud życie czynne przelewać, oswajać go z jego siłą, wznosić go do jego właściwej godności działalnego żywiołu...

Powstań piewco przyszłości! poeto ludowy — a śpiewać za Tobą wszyscy będą i przerabiać będziesz ducha Polski natchnienia Towjego potęgą! Wyglądamy Cię z nadzieją niezłomną, bo się objawić musisz, bo Cię wyda siła żywotna Polski.

Z DNIA NA DZIEŃ

KRZYWE ZWIERCIADŁO.

Niewątpliwie ostatnia propozycja gen. Żeligowskiego w sprawie Rady Przybocznej dla p. Prezydenta podyktowana była takim zrozumieniem dzisiejszego życia, że nie można Polską rządzić, zamykając się w obozie uprzywilejowanych. Ale jeśli ta myśl podstawowa jest niewątpliwie słuszna, to wyciągnięte z niej wnioski są... mocno spaczone.

Pomijamy na chwilę zagadnienie, czy jakakolwiek w ogóle „Rada Przyboczna" może rozwiązać zadania stojące przed Polską. Ale nawet niezależnie od tego problemu, Rada Przyboczna o takim składzie byłaby spaczeniem naszej rzeczywistości.

Zabawmy się w arytmetykę. W składzie podanym przez p. gen. Żeligowskiego mamy na 17 członków, poza Wodzem Naczelnym, który powinien stać poza polityką: dwóch członków, związanych z t. zw. „obozem narodowym", czterech członków z prawicowego skrzydła obozu legionowego, czterech reprezentantów „frontu Morges", dwóch przedstawicieli hierarchii kościelnej, jednego przedstawiciela lewicy legionowej, dwóch członków Stronnictwa Ludowego, jednego socjalistę. W sumie dwunastu przedstawicieli prawicy na czterech, sensu largo, przedstawicieli obozu postępowego.

Czy tak wygląda rzeczywiście oblicze polityczne kraju? Czy „front Morges" ma rzeczywiście cztery razy więcej wpływu w masach ludowych Polski, niż P.P.S. i klasowe związki zawodowe, dwa razy więcej wpływu niż Stronnictwo Ludowe? Czy np. p. Marian Zdziechowski przeszedłby, przy tak ścisłej selekcji — ogółem 16 miejsc do obsadzenia! — w jakichkolwiek demokratycznych wyborach? A czyż pracownicy umysłowi, inteligencja pracująca nie zasługują na reprezentanta w Radzie?

Trudno żądać od generała Żeligowskiego, konserwatysty — nie w „Czasowym" zresztą sensie tego słowa — z przekonań, by nawet konsolidacyjne swe koncepcje opierał na zasadach demokracji. Ale dziwne jest, kiedy pragnący uchodzić za demokratów pp. morżowcy witają z „satysfakcją" i reklamują ją jako „prawą konsolidację narodu" projekty, które, bez względu na niewątpliwie szlachetne intencje ich twórców i pewne pozytywne znaczenie w ramach systemu, pozostają przecież kpinami z najbardziej umiarkowanej demokracji.

ENDEKOID

Poseł Duch (ten sam ,co to zgubił projekt ordynacji wyborczej) wygłosił w sejmie „opozycyjne' przemówienie, w którym m. in. powiedział:

„Nie mogę zrozumieć, dlaczego polityka rządowa szła zawsze w kierunku popierania ugrupowań lewicowych(?!), a atakowania prawicowych i centrowych, które właśnie składają się z żywiołu czysto polskiego. Nie mogę zrozumieć, dlaczego stworzono postrach z tak zwanego endeka a skoro już nie można kogoś było nazwać endekiem, to się stworzyło nowe pojęcie: endekoid."

Bardzo proste. Pana Ducha nie można nazwać endekiem, bo wiadomo powszechnie, że nigdy do endecji nie należał. Ale człowiek, który w roku pańskim 1938 twierdzi, że rządy dzisiejsze popierają lewicę, a atakują prawicę, ma duszę endecką, choć nie jest członkiem Stronnictwa Narodowego ani żadnego z oenerów. I takiego człowieka nazywamy endekoidem.

Wychowawcy i wychowankowie

W poprzednim n-rze „Epoki" zwróciliśmy uwagę na związek między chuligaństwem samorodnym, istniejącym jeszcze gdzieniegdzie jako pozostałość dawnej a chuligaństwem „ideowym", krzewionym i zalecanym przez apostołów nowej, faszystowskiej ciemnoty. Napiętnowaliśmy obłudę „moralistów", którzy gromią niby chuligaństwo, ale posługują się nim w walce z przeciwnikami politycznymi.

A nazajutrz po ukazaniu się naszego artykułu zaszedł wypadek, o którym Polska Agencja Agrarna doniosła w komunikacie dla prasy:

„W dniu 6 lutego r. b. o godz. 9 wieczór we wsi Domaszowice pod Kielcami napadło 6-ciu młodych ludzi na dwóch wiciarzy, wracających z zebrania z sąsiedniej wsi Zagórze, kamieniując 19-letniego Józefa Białka. Zmasakrowano Józefowi Białkowi kamieniami głowę do tego stopnia, że wypłynął mózg i nastąpił wewnętrzny wylew krwi; nastąpiła śmierć. W parę minut po wypadku ś. p. Białek powiedział, że bili go: Biskupski Józef, Karyś T., Zając St., Radek St. (wszyscy członkowie miejscowego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej), Niebudek Wł. i Tutaj Bol., co zresztą potwierdzili świadkowie morderstwa."

Pomijamy dalsze ustępy komunikatu o niedopuszczeniu w pogrzebie sztandarów i wieńców Stronnictwa Ludowego, „Wici" i Tura, o porzuceniu konduktu przez ks. Wojasa, który nie chciał zgodzić się na udział delegacji wiciowej w ostatniej posłudze dla zamordowanego kolegi.

Chcemy tylko zapytać: jak wobec tego wstrząsającego wypadku wyglądają „ideowi" wychowawcy morderców ś. p. Białka, jak wyglądają ci, którzy młodych, otumanionych chłopców uczynili mordercami? Jaką legitymację moralną do potępienia chuligaństwa mają ci, z których posiewu rodzą się takie czyny? I które chuligaństwo, samorodne czy „ideowe", jest groźniejsze dla zdrowia moralnego młodzieży?

Finezja pana Siody

Wielbiciel chłosty, poseł Sioda powtórnie przemawiał w sejmie za tym patriarchalnym środkiem karno-wychowawczym. P. Sioda jest pewien, że projekt jego cieszy się dużą popularnością w społeczeństwie, najbardziej zaś wśród ...chłopów. „Szczególnie ludność wiejska — mówił nasz postępowy prawodawca — ***nie przesiąknięta jeszcze finezjami kultury miejskiej, rozumuje zdrowo, nie wyczuwając w zastosowaniu chłosty poniżenia człowieka***".

Jak to w umyśle naszego Solona chłosta kojarzy się zaraz z „ludnością wiejską"! Swoją drogą, trzeba przyznać, że p. Sioda, jakkolwiek naogół „nie przesiąknięty finezjami kultury" nowożytnej, pozostał jednak wierny podstawowej zasadzie demokracji: nic o nas bez nas. Uzasadniając dopuszczalność chłosty, powołał się na (rzekomą) popularność tej kary wśród tych, którzy w intencjach naszych wsteczników najczęściej by jej ulegali — wśród chłopów. Skoro naj-

bardziej zainteresowany odłam ludności zaaprobował (jak zapewnia p. Sioda) tę humanitarną reformę, dlaczegóż jej nie przeprowadzić?

Reformator ten uznaje zresztą przejściowy charakter proponowanej przez siebie inowacji. Obowiązywałaby ona tylko tak długo *„dopóki nie zginie klęska bezrobocia"*.

Chłosta — środkiem zwalczania bezrobocia? P. Sioda referował jednak budżet Min. Sprawiedliwości, nie Opieki społecznej.

TAM, GDZIE NIEMA FASZYSTÓW...

Prasa podaje wyniki wyborów do kas brackich górników Zagłębia Dąbrowskiego. Podług tych danych na 15.096 oddanych głosów, padło: na (zbliżony do P. P S.) Centralny Związek Górników — 13.462 głosów, na Z.Z.Z. (skrzydło opozycyjne w stosunku do reżymu) — 989 głosów, na prawicowy Z.Z.P. — 225 głosów i na endecką Polską Pracę — 283 głosy.

Jawni faszyści endeccy zebrali więc mniej niż 2% oddanych głosów. Na 11 kopalń odważyli się oni na wystawienie list zaledwie w 3-ch kopalniach. I to w tym samym Zagłębiu, gdzie na wszystkich płotach i murach widnieją hasła Oeneru i Młodej Polski! W tym samym Zagłębiu, gdzie endecy prowadzili tak huczną akcję jeszcze kilka lat temu! By uprzedzić z góry najczujniejszych „narodowców", przypominamy na wszelki wypadek, że odsetek Żydów wśród górników jest minimalny, o wiele mniejszy, niż odsetek zwolenników Pracy Polskiej.

Wynik wyborów mówi dobitnie i jasno: w szeregach robotniczych, w najbardziej podstawowych odłamach świata pracy niema nawet śladów lub swędu faszyzmu.

Z POWROTEM DO KUCHNI!

W „Robotniku" czytamy: „Minister oświaty w Niemczech, Rust, drogą zarządzeń „reformuje" szkolnictwo. Jedną z tych „reform" jest zniesienie g i m n a z j ó w d l a d z i e w c z ą t. Ponieważ „reformy" przewidują także, że dziewczęta nie będą się uczyły łaciny, wynikało by tedy, że kobiety nie będą mogły wstępować na uniwersytet. Wprawdzie studia uniwersyteckie nie przynoszą obecnie Niemkom korzyści praktycznych, gdyż nie przyjmuje się ich na posady do instytucyj publicznych i zamyka dostęp do zawodów wyzwolonych, ale teraz zanosi się na to, że kobiety nie będą mogły odbywać wyższych studiów nawet dla samej wiedzy, dla wyższego wykształcenia."

Likwidując wszystkie zdobycze demokracji, faszystowska ofensywa wstecznictwa i obskurantyzmu z całą siłą uderza w zasadę równouprawnienia płci. Apostołowie ciemnoty usiłują zahamować postępujący od kilkudziesięciu lat i przyśpieszony po wojnie proces wyzwalania kobiety z odwiecznego jarzma, które dźwigała, zamknięta w czterech ścianach „ogniska domowego". Stuletnia walka o równouprawnienie kobiety wiązała się przecież ściśle z walką o demokrację, o wolność obywatelską i kulturę. Wielcy szermierze emancypacji, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, George Sand, John St. Mill, Sylwia Pankhurst, Karin Michaelis — stoją w jednym szeregu z tymi, co walczyli o prawa człowieka i obywatela w dziedzinie społeczno-politycznej, z bojownikami o wolność ujarzmionych narodów.

Faszyzm, który niesie niewolę narodom, ucisk rzeszom pracującym, zagładę kulturze — stworzył i dla kobiety „nowy", ale jakże stary, ideał: K i n d e r, K ü c h e, K i r c h e — dzieci, kuchnia i kościół. W obrębie tych trzech „K" chce faszyzm ustalić pozycję kobiety w społeczeństwie. Ideałem demokracji jest kobieta, pod każdym względem równa mężczyźnie, pracująca zawodowo, rozporządzająca tymi samymi, co i mężczyzna, możliwościami materialnymi i umysłowymi a przez to naprawdę niezależna życiowo. Bo tylko niezależność gwarantuje prawdziwą równość. Tylko taka pozycja zapewnia kobiecie na równi z mężczyzną swobodę i twórczą działalność społeczną i polityczną, naukową i artystyczną. Ideałem faszyzmu jest natomiast kobieta, zamknięta w więzieniu ogniska domowego — bo dla kobiety, której najszczytniejszym powołaniem ma być cerowanie skarpetek, smażenie konfitur i marynowanie rydzów, ognisko domowe może być tylko i jedynie więzieniem!

Młode dziewczęta polskie, które na terenie szkół średnich i wyższych dają posłuch hitlerowskim naukom endeków i oenerowców, powinny pamiętać, że więzienie, w którym faszyzm chce zamknąć narody, musi stać się więzieniem i dla kobiety.

CAR BATIUSZKA SIĘ KŁANIA.

Z okazji procesu Doboszyńskiego lwowskie „Słowo Narodowe" poinformowało nas nareszcie, czym jest młode pokolenie endeckie. Dowiedzieliśmy się, że „w kraju działa d o b r o w o l n a, p a t r i o t y c z n a ż a n d a r m e r i a, tropiąca namiętnie wrogów narodu". Ta żandarmeria to młodzi endecy.

Cóż, porównanie, jak porównanie. Może mają nawet nieco racji. Warto by o tym kiedyś pomówić. Ale teraz chodzi tutaj o język, o „façon de parler".

„Żandermeria"? W Niepodległej Polsce policja polityczna nie nosi tej nazwy. Istnieje tylko żandarmeria wojskowa, nie mieszająca się do spraw „cywilnych". Skąd się wziął ten wyraz w „Słowie Narodowym"? Nie było żandarmerii w znaczeniu policji politycznej za szlacheckiej Rzeczypospolitej. Była „żandarmeria" w Powstaniu Styczniowym, ale na niej chyba nie wzorują się młodzi endecy. Sam Giertych przecież ich nauczył, że to była „żydo-masonia". I doprawdy, co to była za żandarmeria! Czerwonych w niej były całe kupy, a i Żydów nie brakowało. Ani się umywała do Gestapo. Więc skąd?

Oczywista, jest. Za carskiej Rosji policja polityczna nosiła dźwięczną nazwę „korpusu żandarmów". Każdy uczestnik walki Polski Podziemnej i Niepodległej dobrze pamięta „fiołów". To na ich cześć, to z tęsknoty za starymi „fiołami" mianuje pismo endeckie „dobrowolną żandaemerią" swych młodych adeptów.

ZASZCZYTNY DOWÓD PRACY.

Dn. 23-go b. m. ukazał się wielki numer „D z i e n n i k a L u d o w e g o", wydany dla uświetnienia pierwszej rocznicy powstania tego wydawnictwa. Stosownie do zapowiedzi i w zgodzie z zasadą jednoczenia myśli demokratycznej wystąpili na łamach tego numeru liczni przedstawiciele publicystyki, literatury i sztuki całego obozu demokracji polskiej. Kilkadziesiąt nazwisk autorów, posiadających duże znaczenie i wagę na poszczególnych polach działalności publicznej, daje wyobrażenie o sile duchowej i intelektualnej demokracji. Jednocześnie świadczy o gotowości różnych jej odłamów do łączenia się i ogniskowania swych myśli i wysiłków dla wspólnych celów ideowych.

Ten numer „D z i e n n i k a L u d o w e g o" urasta do rangi wydarzenia prasowego i świadczy zaszczytnie o sile i wytrwałości wydawnictwa, które widomie zwycięsko wyszło po całorocznej walce na wysuniętej i zasłużonej reducie myśli demokratycznej. Rok pracy i zmagań „D z i e n n i k a L u d o w e g o" z naporem mroku znalazł swój właściwy wyraz w tym wielokolumnowym i wartościowym numerze.

ADOLF HITLER I PIUS XI: PRZECIWNICY KTÓRYM NIE DANO BYĆ PRZYJACIÓŁMI

I.

Z niemieckich kół katolickich dają się słyszeć coraz częstsze, coraz głośniejsze i, trzeba dodać, coraz bardziej uzasadnione skargi na politykę „narodowego socjalizmu", który w dążności do samoubóstwienia rasy i narodu staje w kolizji z chrześcijaństwem, a w szczególności z Kościołem rzymskim.

Te głosy skarg, wspierane raz po raz dyplomatycznymi notami Watykanu, zasługują na jak najpilniejszą uwagę wszystkich, którzy doceniają wpływ i udział Papiestwa w układzie stosunków społecznych i międzynarodowych. Ale właśnie ci, którzy największe budują nadzieje na klerze katolickim, jako na czynniku walki z totalizmem, pamiętać powinni o jednym: że Adolf Hitler nigdyby nie opanował Niemiec, gdyby nie opozycja ośrodków katolickich przeciw współpracy *Centrum* z *Socjal-demokracją:* tej współpracy, która — jak wiadomo — była i być musiała jedyną podstawą demokratycznej republiki niemieckiej, republiki Weimaru.

Opór niemieckich sfer katolickich przeciw współrządom z partią robotniczą był w rzeczywistości o wiele większy niż się na ogół przypuszcza.

Czego spodziewały się sfery katolickie po hitleryźmie?

W Bawarii sfery te były, swego czasu, dość silne, ażeby wywołać rozłam między *Centrum* a *Bawarską Partią Ludową*. Uchylenie się tej ostatniej od koalicji z *Socjal-demokracją* było bezpośrednią przyczyną tego, że w r. 1925 na prezydenta Rzeszy wybrany został Hindenburg zamiast Marxa, przywódcy stronnictwa *Centrum*. Były też w Niemczech inne wpływowe koła katolickie, mniej lub więcej przeciwne całej koncepcji *katolicyzmu politycznego*, przeciwne łączeniu stronnictwa politycznego z przedstawicielstwem interesów Kościoła. Jeszcze inni, niechętni wpływom stowarzyszeń katolickich, opartych o współdziałanie z *Centrum*, woleli wzmacniać miejscowe wpływy biskupów; biskupi zaś, ze swej strony, podejrzliwie patrzyli na wzrastające w siłę stanowiska sekretarzy i prezesów owych stowarzyszeń. Co do arystokracji katolickiej, potężnej dzięki swym majątkom, to potępiała ona *Centrum* zasadniczo zarówno za jego współpracę z socjalistami, jak w ogóle za jego wspieranie systemu parlamentarnego. Nie brakło też wśród katolików, rozporządzających wpływami, ludzi, którzy wprawdzie szli w szeregach *Centrum*, ale, jak naprzykład von Papen, przeciwdziałali współpracy z lewicą, torowali natomiast drogę rządom autorytatywnym. Wszystkie też żywioły katolickie, mimo różnic, jakie je dzieliły, zgodne były w tendencji najważniejszej: patrzyły życzliwie na posuwający się naprzód pochód „narodowego socjalizmu". Patrzyły nań życzliwie i z ufnością, jako na swego sojusznika, jako na ruch niewątpliwie antydemokratyczny, społecznie zachowawczy, skierowany przeciw uroszczeniom robotników i chłopów. Niepokój pewien w żywiołach tych budziły osoby przywódców nowego ruchu; niemniej wszakże żywiono nadzieję, że ruch ten ułatwi odbudowanie chrześcijańskiego ustroju autorytatywnego.

Von Papen i ks. prałat Kaas

Opisane wyżej koła katolickie w Niemczech były najzupełniej przygotowane do tego, aby z uznaniem skłonić głowę przed „narodowo-socjalistycznym" przewrotem w r. 1933. Podkopały one, w każdym razie, widoki jakiejkolwiek skutecznej opozycji, którą przeciw hitleryzmowi mogłoby podjąć Centrum katolickie, zwłaszcza z chwilą, gdy von Papen, rzecznik katolicyzmu „narodowego" zasiadł w gabinecie Hitlera, jako vice-kanclerz. Godzi się także przypomnieć, że nawet samo *Centrum* patrzyło zrazu na „narodowy socjalizm" ze stanowiska czysto taktycznego, widząc w nim partię taką samą, jak inne. Prałat Kaas, przywódca *Centrum* (przyjaciel kardynała Pacellego, nuncjusza papieskiego w Berlinie, obecnie sekretarza stanu w Watykanie) oceniał wypadki wyłącznie pod kątem ciasnych interesów Kościoła. Tym się tłumaczy, że uczuł się w pełni zadowolony tymi zarządzeniami Hitlera, które brzmiały korzystnie dla Kościoła, na inne zaś nie zwrócił uwagi. Zachwyciło go w szczególności szybkie tempo, jakie nowy rząd nadał swym rokowaniom z Rzymem w sprawie konkordatu.

Jeden fakt jeszcze zasługuje na przypomnienie. Wielu posłów *centrowych*, utraciwszy wszelką ochotę do walki, żyło jednym tylko prawdziwie szczerym pragnieniem: nie być wyrzuconym poza nawias życia przez nowy porządek polityczny. W rzeczy samej, po rozwiązaniu partii *Centrum*, większość jej członków pędem pobiegła do siedlisk nowych panów, aby im składać czołobitne pokłony. Jakież było ich zdumienie, potem i rozczarowanie, gdy pokłony przeważnie pozostały nieodwzajemnione, a częstokroć brutalnie wyśmiane!

Dwaj Adolfowie — dwaj zbawcy.

Niezdolne do poważnej walki z „narodowym socjalizmem" były i stowarzyszenia katolickie. Jeden z ich przywódców, który uprzednio zwalczał był doktrynę Hitlera, wystąpił bezpośrednio po wyborczym zwycięstwie tegoż w r. 1933 z artykułem pod znamiennym nagłówkiem: „Dwaj Adolfowie — zbawcy ludu niemieckiego". Jeden Adolf był to Adolf Kolping, założyciel owego stowarzyszenia; drugi był to Adolf Hitler.

Nie brakło — nazajutrz po przewrocie — żywych dla hitleryzmu sympatii i na szczytach hierarchii kościelnej. Groeber, arcybiskup fryburski, oraz Berning, biskup osnabrycki, powitali tryumf Hitlera listami pasterskimi, pełnymi przyjaźni dla nowego ustroju. Biskup Berning dał wyraz uczuciom, w sferach katolickich szeroko rozpowszechnionym, gdy wiosną r. 1933 oświadczył: „Nie wolno nam rozminąć się poraz wtóry z potężnym ruchem narodowym, jak rozminęliśmy się z nim w czasach Reformacji; obowiązani jesteśmy uznać fakty dokonane, dopóki czas".

Uznać fakty — znaczyło to wtenczas, w języku katolickim, nie zwlekać z zawarciem konkordatu, do

którego zdawał się śpieszyć również i nowy rząd „narodowo-socjalistyczny". A jeśli rząd ten okaże się nietrwały? jeśli runie po kilku miesiącach? Tym lepiej! — myślano sobie w pewnych zakątkach katolickich. A napewno tak myślał ks. prałat Kaas, który imprezę hitlerowską uważał za efemerydę. Konkordat z Hitlerem — sądził on — może być w każdym razie podpisany bez ryzyka, gdyż nawet po rychłym upadku jego służyć może za korzystną dla Kościoła bazę w rokowaniach z przyszłymi rządami Niemiec.

Niezwykle popularne natenczas były porównania z sytuacją włoską. One to głównie krzepiły otuchą episkopat niemiecki: skoro faszyzm włoski w osobie Mussoliniego pojednał Państwo z Kościołem, to dlaczegóżby ta sama rola nie miała przypaść w udziale Hitlerowi, wodzowi faszyzmu niemieckiego?

Przynęta Konkordatu

Bo i o cóż chodziło Kościołowi katolickiemu w Trzeciej Rzeszy? Chodziło mu, nasamprzód, o postawienie tamy zapędom marksizmu i zdławienie, pod egidą walki z tym ruchem, wszelkich rewolucyjnych dążeń proletariatu do przebudowy społecznej. Któż do roli tej nadawał się lepiej, niż ten, który sam ogłosił się wodzem krucjaty antykomunistycznej? Następnie chodziło Kościołowi o byt stowarzyszeń katolickich, o szkołę katolicką, o wolność katolickiego nabożeństwa. Te swobody i rękojmie zapewnić miał właśnie konkordat. To też gdy wreszcie artykuły konkordatu, po pewnych wstępnych utarczkach między Watykanem a Berlinem, zostały uzgodnione i podpisane, sfery katolickie nie wątpiły, że odtąd stosunki Kościoła z Państwem ułożą się w Niemczech tak gładko i harmonijnie, jak we Włoszech.

Nastąpiło tymczasem coś wręcz przeciwnego. Bezpośrednio po ogłoszeniu Konkordatu rząd berliński wystąpił z projektem ustawy o *sterylizacji*, otwarcie przeciwstawiający się doktrynie, ogłoszonej przez Piusa XI w jego encyklice o małżeństwie. Katolicka prasa Niemiec zmuszona była wydrukować artykuł, ostro odcinający się od tej interpretacji konkordatu, jaką podał „Osservatore Romano", urzędowy organ Watykanu. Kazania adwentowe kardynała Faulhabera (r. 1933) biorące w obronę Stary Testament, spotkały się z napastliwym atakiem dzienników hitlerowskich.

Atak ten wszakże był tylko przygrywką bojową do wielkiej ofensywy, jaka niebawem miała się zacząć. Wybuchła ona, w maju r. 1934, w serii procesów przeciw wybitnym przedstawicielom Kościoła oskarżonym o przemyt waluty. Jakkolwiek z pośród tych, których posadzono na ławie podsądnych, jeden tylko biskup skazany został na grzywnę, materiał sądowy długo i systematycznie wyzyskiwano dla propagandy przeciw całemu duchowieństwu. Ksiądz prałat Bannasch w Berlinie aresztowany został na podstawie niespodzianego dla siebie oskarżenia o zdradę główną: zarzucono mu, że udzielał informacyj nuncjuszowi papieskiemu — a więc przedstawicielowi obcego mocarstwa! — dotyczących sytuacji religijnej w Trzeciej Rzeszy. Wolker, prezes Młodzieży katolickiej, stawiony był przed sądem pod zarzutem uczestnictwa w tajnych organizacjach katolicko-komunistycznych. Obaj byli uniewinnieni, niemniej wszakże faktowi posądzenia nadano olbrzymi rogłos.

WIKTOR ZIELIŃSKI

GŁOS MAJĄ MŁODZI

Precz z nierobami na wyższych uczelniach!

Scientia hominibus est

W numerze noworocznym „EPOKI" ukazał się artykuł Włodzimierza Rozwadowskiego p. t. „Spójrzmy poza własne podwórko". Artykuł ten przyjęty został z zapałem przez całą prasę demokratyczną, nie przeszedł także i bez echa w organach przeciwnego obozu. Urywki z niego, a także często i całkowity przedruk spotykało się w każdej prawie gazecie warszawskiej czy prowincjonalnej.

Treść artykułu p. Rozwadowskiego budziła we mnie od pierwszej chwili cały szereg zastrzeżeń, nie zabierałem jednak głosu wcześniej, licząc, że może odezwie się w tej sprawie ktoś młodszy ze studentów wyższych uczelni, do których bezpośrednio artykuł ten się odnosił. Tyle na usprawiedliwienie, że tak późno „zapisuję się do dyskusji".

Przede wszystkim pragnąłbym postawić autorowi zarzut, że pojmuje on naukę jako wyłącznie coś abstrakcyjnego, absolutnie z życiem nie związanego. Młodzieniec, który przychodzi na uniwersytet i uczy się poto, aby zdobyć sobie zawód, aby być społeczeństwu potrzebnym i dla niego pożytecznym, który w dalszej perspektywie widzi taką czy inną „posadę" — nie jest czymś społecznie negatywnym — przeciwnie, zasługuje na pełny szacunek tak samo, jak ten, który kocha wiedzę nie ze względu na materialne korzyści, płynące z jej posiadania, ale dla niej samej. Ludzie genialni potrzebni są, aby wskazywali ludzkości nowe drogi — ludzie fachowi, szarzy szeregowcy nauki, mają ją tymi drogami prowadzić.

Wysuwa się tu także i inne zagadnienie: kwestia zdolności. Nie każdy posiada dane umysłowe, aby mógł stanąć na szczycie świecznika nauki. Geniusz wyrośnie sam, bez dydaktyki p. Rozwadowskiego, przeciętniak choćby nawet szczerze wziął sobie do serca jego rady i zaczął lekceważyć praktyczne znaczenie i materialnie doniosłe skutki swej nauki, nie wypłynie ponad poziom.

Trzecia sprawa — to kwestia najsmutniejsza: warunki studiów i życia. W ustroju dzisiejszym student ma do przełamania niesłychane trudności natury materialnej. Stypendia, zapomogi czy pożyczki to tylko groteskowe plasterki na jątrzące się i gnojące rany trapiącej świat akademicki nędzy. W tym stanie rzeczy student pragnie jak najszybciej pozbyć się rozkoszy przebywania w murach Almae Matris i rozpocząć życie samodzielne w społeczeństwie. Ten, kto by pragnął w dzisiejszych warunkach piąć się na szczyt wiedzy, musiałby zdecydować się na pasorzytnictwo lub filantropijną łaskawość społeczeństwa. Trudno, ale tak już jest w dzisiejszym ustroju i na to nic poradzić na razie przynajmniej nie można.

Z tych względów nie wydaje mi się słusznym mniemanie, iż ten, kto się obkuwa z myślą o przyszłym zarobku jedynie

(zarobek jest przecież słuszną rekompensatą jego usług, oddawanych społeczeństwu), lub z tychże względów idzie na prawo zamiast na niepopłatną filozofię, do której żywi zamiłowanie, zasługuje na potępienie. Jest to tylko jednym dowodem więcej, jak ciężka jest martyrologia obecnego pokolenia przyszłej inteligencji.

Nie zgadzam się też z twierdzeniem autora, że ta właśnie młodzież, która myśli tylko o materialnych pożytkach z nauki, jest sprawczynią pożałowania godnych zajść na wyższych uczelniach, przemieniając ją, wedle trafnego określenia autora artykułu, w „corridę". Na uczelniach awanturują się nie ci, którzy uczą się dla dyplomów, ale ci, którym nie zależy na dyplomie, którzy nie martwią się o przyszłość, mając zaplecze doskonale zabezpieczone spadkiem tatusiowego majątku czy jego portfelu akcji. Ci, którzy odbywają seminaria w „Adrii", a colloquia w „Arizonie", zamieniają aule uczelniane w makabryczne prosektoria.

Nie należy więc atakować tych grup, które w nauce widzą swój interes ekonomiczny. Zagadnienie zabezpieczenia sobie bytu w przyszłości najlepiej odgradza młodzież od haniebnych awantur. Kto chce jeść w przyszłości, nie traci czasu w dniu dzisiejszym.

W konkluzji swego artykułu domaga się pan Rozwadowski zamknięcia wstępu na uczelnie dla „własnopodwórkowiczów", którym to terminem określa łapaczy dyplomów, a dopuszczenia szerokich mas ludzi, pragnących uczyć się naprawdę. Nie mam nic przeciwko temu, aby zalała nasze uczelnie fala rzetelnych naukowców, ale nie powinno to się odbywać ze szkodą tych, którzy przychodzą na uczelnie, aby nabyć praktycznej wiedzy codziennej. Wysunąłbym raczej inne hasło: *„Precz z nierobami — dopuścić pragnących pracować"!*

Jeśli się chce stłumić awantury uczelniane, należy walczyć o jak najszerszy dostęp do wiedzy dla tych wszystkich, którzy chcą się uczyć w ogóle, bez względu na to, jaki jest ostateczny cel ich pracy naukowej, a więc dla szerokich mas młodzieży wiejskiej i robotniczej. A dostęp ten gwarantować może tylko upowszechnienie nauki, wprowadzenie bezpłatnej nauki we wszystkich szkołach wszystkich stopni.

WŁODZIMIERZ LENCKI

„Hraść"

NOWELA

— Niekby cie ujrzoł leśny, kościskbyś nie zebroł za te hraście!... — mruknął do siebie chłop, przywiązujący powrozem do sanek kupę zeschłego chróstu i gałęzi świerkowych nawpół zgniłych. — He, łodrazu po kościak!... Ciepło mu w izbie, to cu by sie ta tropił, ze sie u cie wiatry po izbie guniom,... ze dziecka wrzescom,... baba strzylo pyskiym... E! Ka by sie mu ta kciyło lyź do lasa... Juści ze se siedzi w ciepluśki chałupie i babe se... Psiokrew!! Ni ma to jak takiymu...

Trząsł się chłopina, bo wietrzysko do kości się dorwało, usiłował zgrabiałymi palcami silnie przymocować patyki do sanek. Z trudem mu to szło. Chuchał w dłonie, bił się nimi dla zagrzania po bokach, lecz mało to pomagało, bo poklinał co chwilę. Wreszcie z wielką biedą uporał się z przymocowaniem patyków.

Wicher dął od wschodu, raczej zachodni to był wiatr, tylko się uwziął na Luboń i, przeszedłszy od Babiej stokami, od Turbacza się nawrócił, aby lubońskie gąszcze przetrzebić. Po niedźwiedzkich pagórkach zebrawszy na się popielate chmury, wracał zadzierzyście na lubońskie żleby i ubocze. Dął też dął. Wichrzyc mroźny.

— Bedzie! Kieby ino ta bestyjo nie cekała ka na mnie... — mówił do siebie głośno, pewny, że go bór nie zdradzi. Spojrzał po niebie. — Bedzie wikrzyło...

Nad szczytem Lubonia poczerniało.

— A ci bedzie kurzawica! Brr... Nie bede cheba cekoł duzy, bo sieła tego sie wali na doły... Przecie tego cierta nic nie poniesie do lasa w takom łoćpawice... — przemyśliwał chłop na swoje, obawiając się wciąż leśnika, który gałązki z puszczy nie przepuścił.

Na czapicy Lubonia zawisła czerniawa kurzna, plując na zbocza smugami śniegu.

Na rosłe jodły, smereki i buki, po polanach rodzinami obsiadłe, popadł strach, lęk jakiś. Widocznie przeczuły zsuwający się ku nim żywioł, biały, nieubłagany. Kuliły się do siebie jak ztrwożone owce w kierdel, zadzierzgały wokół kosmate ramiona, nastawiały ku wichrowi wierzchołki, spojone samymi żyłami żywicy, jak kopie ze stali nastroszyły i oczekiwały napaści.

Nie długo czekały. Chmura z rykiem staczała się na nie. Szybko, z wichrem, z czernią miażdżącą.

Nagięły się pod nią drzewa. Jak lemiesze wpruły się w brzuch zwałów chmurnych, krajały, targały po kawałku, na strzępy to zrywały, kłębiły, walczyły zaciekle z żywiołem.

Wichrzyc ino po łbach, po czubach omrożonych śmiałków zdzielał.

— A sie uwziyny na las... pocyrniało jaze... ciapie tyz ciapie cu niemiara... — szeptał chłop zastrachany przed nieujarzmionymi siłami, na które od lat spozierał, z lękiem, z bojaźliwym zachwytem.

Wichrzysko zadęło silniej.

Ryknęły sędziwe, kosmate jedliska ponuro w swej paszczy-gęstwi. Zmagały się z nawałnicą zaciekle, bo przeczuły zagładę, śmierć. Gdy już smreczynie wicher pościnał łby, wziął się do starców. Drzewiska, schorzałe, sterane wiekiem burz, poczęły się kłaść z trzaskiem na potomki swoje.

— A ci piere, kieby piórkiym... — szeptał chłop, niepewnie się czując pod bukiem na krawędzi polany, skąd obserwował walkę.

Truchlał na widok tworzących się zapór na ścieżkach, przemyśliwał inną drogę do powrotu.

Śnieg sypał bez miłosierdzia, tak, że ledwo sylwetki najbliższych drzew rozpoznać można było. Usiadł chłop we wnęku korzeni buka, które obrośnięte mchem, wdzierały się przez długie lata do wnętrza skał. Drżący wzdłuż dziesiątek lat, walczył o życie. Stał tu długo, długo. Nieraz w walce z burzami, konarami targał, jakby chciał te mocarze na doły spędzić, czasem się z wichrem nagiął, aż korzenie od skał odstawały. Nieraz zdawało się, że ulegnie. Ostał. Zwyciężał, w porosty obrósł.

Robiło się coraz ciemniej. Przez nawałnicę śniegową nie widać było nic na parę kroków. Chłop ruszyć się nie mógł, bo zewsząd dolatywał do jego uszu głuchy stęk konarów, zgrzyt łamanych gałęzi.

Burza zewsząd moce zbierała. Wichurzyca wszystkimi siłami godziła w martwą, śpiącą pod bielą ziemię. Nie mogąc zmóc boru od wierzchów, przedarł się wicher przez wyrwy w gęstwiach do czeluści hraściowych i, od odziomków

się zabrał do drzew. Od korzenic, żył zrosłych z oskalem. Obdzierał ze śniegu, igliwa, grudy jął wydrapywać niczem pazurami, wierchami chwiać, podważać, jęczeć, wyć, wreszcie zwycięsko kłaść na sobie trupy. Aż zmarzłe ziemisko dudniało.

Uszedł z kniei zwierz w popłochu, na polanach się krył, w zaspach nikł. Uchodził przed zagładą z matni, które od wieków za schronisko mu była. Nie jedno pod kłodą ostatni dech wydawało, lub drgało w konwulsjach przybite konarem do ziemi, zniewolone hraścią. Przez wichrowe jęki, przedzierały się rozdzierające wycia dogorywających mieszkańców puszcz odwiecznych, gąszczy, hraści...

Chłopa prawie nie widać, zasypało go całkiem. Siedział w zaspie chroniącej od zimna. Wsparty plecami o pień, czuje na sobie pochylenia drzewa, słyszy chrzęst wyrywających się korzeni. Co chwilę się żegna, wypatruje miejsca w któreby się mógł schronić na wszelki wypadek. Buk jeszcze walczy, trzyma się resztkami korzeni szczelin skalnych.

Wiatry prą na niego zewsząd, na drżącego śmiałka, z którym od lat toczą boje .

Jakiś wir, trąba harcują koło buka zaciekle, podważają resztki czepiających się korzeni, dmą w rozłożystą koronę, unoszą w górę i walą na zwaliska drzew. Buk, ino korzenie żywiołom ukazał. Korzenie jak szpony prężące się, łapiące resztki życia. Jeszcze chwilę dygotał w złości, dychał ciężko, potem całkiem zmogły legł. Trup.

Chłop wygrzebał się spod śniegu. Spojrzał z podziwem na drzewo, którego twardości nieraz próbował rąbanicą.

— Przecie ci doł rady!... — mruknął zadowolony obejmując pień.

Wicher ustał nagle. Cisza się zrobiła. Jak na cmentarzysku.

— Trza bedzie iść — rzekł chłop, spozierając ku bladawemu Luboniowi, dla upewnienia się, czy nowa kurzawica nie wyjdzie z za niego. Uspokojony, zaczął pomału schodzić po polanie w dół, ku wsi. Sanki z chróstem wziął przed siebie, począł je pchać. Płozyska ryły w zaspach, grzęzły, patyki opierały się o zwały śnieżne. Wymijał zwalone kłodziska, przerębywał sobie przejścia popod mosty drzewne, obcinając odwisłe gałęzie i sterczącą hraść.

— A ci bedzie cu brać, telo te hraście naciupało! Na roki by stało polynia! Hej... — mówił radośnie do siebie, obiecując sobie w duchu nazajutrz znów zwieść parę sanek patyków na opał. — Zeby baba nie scekała!

Przebrnął kilka polan, potoków. Wszędzie leżały strupiałe chojary, jedne na drugich, złamane napół, inne bez czubów, ogołocone z gałęzi, jakby okrzesane cieśliczką.

— Nimom jo, niek pon ni mo! Pon Bóg wiy cu robić zeby ik tak nie rozpiyrało... teloś tego haw! Kieby ino dali pozwolyństwo, jak to łuni bywało, nie gniło by to haw!... A ci bedzie z wiosnom zwiyska na doły... He, he! Zarobis se pore złocioków, bedzie cym dzieciska łokryć zeby tyłkiym nie świyciły... zawse ta pore złotyk... — przemyśliwał różowo.

Wyjechał na sporą polanę, z które) zjeżdżało się do wsi spadzistym holwegiem. Nagle naprzeciw w świerczynie zobaczył wymierzoną w siebie lufę strzelby. Przystanął ze strachu, struchlał. Do jego uszu doleciał znienawidzony głos leśniczego:

— Maam cię!!... Fiu, fiu! Takiego dzika upolować...

Tęgi, rosły mężczyzna, okryty ciepło, wyszedł z gęstwiny i stanął naprzeciw zaskoczonego chłopa. Nie było mowy o ucieczce. Nawet gdyby zdążył uciec, na nic by się to nie zdało, bo go leśniczy znał. Ponieważ leśnik był, jak we wsi mówiono, zatwardziałym, więc też chłopa kryminał napewno nie minie. Spojrzał chłop na pana dzikimi oczyma. Coś błysnęło w jego mózgu.

— No, marsz chamie! Nie medytuj, bo to nic z tego, wy mię znacie! Czego stoisz!? — krzyknął. Rad był z upolowanego zwierza. i jeszcze jakiego.

Chłopu nagle stanęła przed oczyma poniewierka, areszt, poczuł na skórze razy sługusów, usłyszał płacz dzieci, żony. Ukląkł w zaspie, ręce jak do modlitwy złożył, głosem pełnym rozdzierającego żalu skomlił o litość.

— Panocku! Patrzojcie kielo haw tego! Bedzie gniło!... u mnie biyda, dzieci... głód panocku! Zimno! Darujcie, z wiesnom łodrobie na pańskim te hraście...

— Dobry mi! Nie udaj mi tu chamie skruchy. Wstawaj, ja nie święty! Będziesz się gdzie indziej modlił. No, rusz się! Zimno już. Tam pewnie żona się niepokoi...

— Panocku! Na wase dzieci jak janiołki...

— Marsz ścierwo!! — krzyknął zaperzony leśniczy zamierzając się na chłopa kolbą dubeltówki.

Chłop podniósł się z klęczek. Głowę opuścił na piersi, zacisnął mocno dłoń na toporzysku siekierki. Wzrok utkwił w śniegu.

Dziw, że śnieg nie stajał... Gdyby leśniczy przeczuł co się w tym wzroku czaiło, z pewnością by wypalił do niego z obu luf naraz.

Ruszył chłop przodem z siekierką w ręce, za sobą ciągnął sanki. Zanim postępował leśniczy. Brnęli w zaspach, zapadali się po ramiona. W duszy chłopskiej nurtowało. Mózg omotała straszna myśl. Serce łomoce w piersiach, jak w zasieku kolczastym i boli. Strasznie boli!

— No, tego jednego mam... jeszcze dwóch, i to kłusowników. Wnet będzie koniec i spokój. Żeby jeszcze... — mruczał leśniczy. Lecz nie dokończył.

Chłop nie oglądając się za siebie, zawinął siekierką koło swej twarzy i rzucił w tył, na oślep. Toporek jak błyskawica mignął z furkotem i, utonął w czole leśniczego. Pękła czaszka. Nieszczęśnik nie zdążył nawet krzyknąć. Trysnęła krew na biel. Chłop odwrócił się, spojrzał na trupa.

— Zakatrupiłek... te psienkrwie... Nie bedzies nase krwie cycoł!! — syknął przez zaciśnięte zęby.

W tym, coś w borze ozwało się, jak hraść sucha pod stopą. Poderwał się, przyskoczył do trupa, porwał dymięcy jeszcze toporek, i czujnie jak ryś poszedł w bór. Przykucnął za grubym pniem, nadsłuchuje. Cicho, spokojnie umiera las.

— To hraść... — szepnął. Powstał.

— Zabiłek... — targnęło coś we wnętrzu. — Hej! Zabiłek pana... — rzekł głośno i spojrzał ku polance. Leśniczy leżał nieruchomo z rozkrzyżowanymi rękami na śniegu. Chłopu serce łomotało, w głowie szumiało, a we wnętrzu pruło, skródliło zadziorami. Mrówki po krzyżach łaskotały, pod czapką zmokrzało, listewka od koszuli pocieśniała, nogi, jakby obute w ołowiane kierpce, z trudem rozgarnywały śnieg.

Zaniechał sanek z hraścią, ruszył ku dolinie. Lęk ogarniał go coraz większy. Oglądał się za siebie, wpatrywał w gąszcze, chował za pnie, przeczekiwał na kogoś we wnękach.

A we wnętrzu wciąż pruło, nurtowało, przewracało. Ubranie zwilgło od potów, nogami już ledwie wlókł. W około snują się szepty jakieś, za nim pomruki, trzaski po hraści, jak by ktoś szedł krok w krok i śledził go. Co hraść trzaśnie, przystaje, nadsłuchuje.

Cicho. Ino łomot w piersi dudni.

— To hraść... — szepce chłop trzęsącymi wargami.

Bór pociemniał, śnieg posiwiał, po niebie przewalały się bure chmurska, las tonął w zwodnych zmrokach pojękując obsuwającymi chojarami po oboczach, postękiwał ponuro echem staczających się głazów po pyrciach, żlebach, załkał żałośnie w dole...

Chłop szedł. We wnętrzu wciąż pruło, coraz bardziej. Na każdy szelest odwracał się, bliski obłędu, gotowy do cięcia toporkiem. Wciąż mu się zdawało, że ktoś idzie za nim, nawet po tym samym śladzie, co on zostawi. Przystanął. Wszystko ucichło.

— To hraść... — tłucze się mu po mózgu.

Przebija wzrokiem ciemności, patrzy w powalone chojary, w te jeszcze stojące, bez łbów, patrzy, czy się które nie ruszy, czy kto z za nich nie wyjdzie, z za tej grubości, patrzy w czerniawą przestrzeń dziewiczej świątyni o połamanych filarach, z korzeniami na wierzchu, na te martwe bojowce...

Idzie dalej, czujnie, ostrożnie.

Nagle przystanął.

W ciemności, pomiędzy pniami coś się niewyraźnego porusza. Jakieś sylwetki biegną za kimś. Słyszy krzyki goniących, widzi znęcanie się nad ofiarą pochyloną. Widziadło wyraźnieje. Dobiegają nowe postacie, tak mu dobrze znane, płaczą, przygląda się twarzy turbowanego i, ...poznaje siebie, mordercę, policję, odrywa się w największej desperacji. Chce uciec. Coś trzyma go za nogę, za ubranie. Krzyczą rozpaczliwie, z całej siły wali za siebie siekierką. Wbił ją po drzewce, aż się echo zaśmiało drwiąco w rozpadlinie. Wbił topór w pień jodły, która go hraścią za połę bluzy złapała. Zorientował się.

— To hraść... — szepce z wysiłkiem, ociera z czoła lepką ciecz.

Wytęża wzrok. Widziadła zdążają ku niemu. Wyrwał cieśliczkę i biegnie z powrotem po utorowanej ścieżynie nie bacząc na nic. Ucieka. Ściga go policja, żona, dzieci... W zapadłości wywraca się. Czuje, że jakaś siła trzyma go w kostce za nogę. Znów grzmoci siekierką w korzenie, hraście.

— To hraść... — płacze, podrywa się i ucieka. Słyszy głosy, strzały.

Wybiega na polanę, chce ją w poprzek przebiec, natrafia na trupa leśniczego.

— Rety ście wy... to un... tyz z nimi... krew... tele posoki... zabiłek... — krzyczy jak opętaniec. Chce zawrócić, lecz pada wstrzymany za nogę. Resztkami sił i przytomności uderza toporkiem... w sanki, w patyki.

Cisza.

— To hraść... — myśli niewyraźnie.

Powstał. Patrzy na trupa. Ten, wyprężony zdaje się sztywną ręką wskazywać na coś. Chłop spojrzał w tym kierunku, ujrzał młodego jeszcze buka, który zwycięsko wyszedł z walki. Coś w borze jęknęło żałośnie, odbiło się łzawo we wnętrzu chłopskim, targnęło, szarpnęło... aż włosy na głowie powstały.

— Uciekoj... hań buk... haw powróz... hareśt... dzieci... policyjanty... Uciekoj!!!

Zrozumiał chłop ten głos. Nie odwlekając, odciął od płozów powróz i chwiejnym krokiem podszedł do buka o silnych konarach ostałych... dla niego...

— Wartko! bo juz som haw... — szepce głos we wnętrzu.

Z boru dochodzi chrzęst.

— To hraść... policyjanty... — kołaczą się myśli.

Dreszcze wstrząsają nim raz po raz, dygoce jak w febrze, radby usiąść, a spieszyć się trzeba.

Zarzucił przez konar powróz, zadziergnął pętlę, zawdział na kark.

— Zabiłek... telo krwie.. Jezusicku miyj w miłosier... dziec... te... lo... głód... — wyrzęził wisielec.

W borze słychać trzask, westchnienie...

— To hraść... — poruszają się wargi, jakby chciały przez pianę szepnąć...

— Hraść...

MIECZYSŁAW MIREK.

Miliony ludu przeciw miliardom dolarów

Nie na darmo przypomnieliśmy w poprzednich artykułach*) Tomasza Jeffersona. Jefferson to najlepsze bodaj, na ziemi amerykańskiej, wcielenie l u d o w e j demokracji. Demokracji „małych ludzi", farmerów, rzemieślników, częściowo robotników, drobnych kupców. Tej samej demokracji, którą reprezentowali jakobini w Wielkiej Rewolucji Francuskiej, którą reprezentował u nas Ściegienny czy „czerwoni" 1863 r. Do tej demokracji, do „państwa dla dobra ogółu" nawiązuje i Roosevelt. Roosevelt, to próba odrodzenia, w warunkach Ameryki 1938 r., starej, jeffersonowskiej demokracji „szarych ludzi".

Ale demokracja ta ma już innych wrogów, niż w czasach „Deklaracji Niepodległości". Nie lordowie z londyńskiego Urzędu Kolonialnego, nie monopoliści handlowi z portów Wielkiej Brytanii dławią dziś wolność farmera z Nebraski, robotników z Pensylwanii, pracownika umysłowego z Nowego Jorku. Nowe siły gnębicielskie wyrosły we własnym kraju. Tym siłom na imię: koncerny, trusty, holdingi, Wellstreet.

„Dwie trzecie przemysłu amerykańskiego — pisze Roosevelt — skupiło w swoim ręku kilkaset koncernów, rządzonych faktycznie najwyżej przez pięć tysięcy osób. Mniej aniżeli trzy tuziny prywatnych domów bankowych oraz firm maklerskich, związanych z bankami handlowymi, kieruje ruchem kapitałowym wewnątrz kraju i za granicą". To prawda. Pięć procent największych towarzystw koncentruje w swych rękach 57% siły roboczej i 67% produkcji Stanów. Tymi towarzystwami dopiero rządzą koncerny i holdingi. Wartość zakładów kontrolowanych przez dom bankowy Morgana oceniają na 30 miliardów dolarów, Rockefellera na 15 miliardów. Niespełna tuzin dyrektorów Chase National Banku zajmuje blisko 700 pozycji dyrektorskich w poszczególnych wielkich przedsiębiorstwach kraju. Rockefellerowski Standard Oil kontroluje 45% rafinerii naftowych, 68% rurociągów, 50% zbytu produktów naftowych Stanów. Do nich, do wielkich koncernów płyną przede wszystkim zyski przemysłowe. Podług statystyk skarbowych, dochód towarzystw o rocznym dochodzie ponad 1 milion dolarów, stanowiących ćwierć jednego procentu ogólnej liczby przedsiębiorstw w Stanach, obejmował w latach 1919 — 1933, przeszło 55% ogólnej sumy dochodów przemysłu. Tych kilka, na chybił trafił wybranych liczb, ilustruje nam nowego wroga demokracji jeffersonowskiej. „Nasze demokratyczne życie polityczne — pisze jeden z najbliższych współpracowników Roosevelta, Rexford G. Tugwell — stanowi zadziwiający kontrast z autokracją, jaka panuje w naszym przemyśle. Wydaje się rzeczą absurdalną, aby te dwa stany rzeczy mogły współistnieć długo obok siebie". Tugwell ma rację. Albo trusty złamią demokrację, jak złamały ją w

*) Patrz w Nr 3 „Roosevelt nie kapituluje i „Pod obstrzałem 60 rodzin" w N-rze 4 „Epoki".

Niemczech i Włoszech, albo demokracja złamie trusty. Tak, a nie inaczej stoi zagadnienie.

Czy to znaczy, że Stany stoją w przede dniu socjalizmu? Naszym zdaniem, nie, przynajmniej jeszcze nie. Nikt w Stanach nie mówi dziś o integralnej socjalizacji życia gospodarczego, czy choćby tylko przemysłu. Drobny przemysłowiec, nawet średni fabrykant, większy farmer, zatrudniający pewną ilość robotników, stanowią armię zwolenników Roosevelta na równi z robotnikiem czy pracownikiem umysłowym oraz robotnikiem rolnym lub drobnym farmerem stanów rolniczych. Drobny kapitał nie bierze udziału w antyrooseveltowskiej ofenzywie. W czasie ostatniego „ataku" zatrudnienie w stalowniach spadło o 80%, zatrudnienie w drobnym i średnim przemyśle o 15%. Te liczby są wyraźniejsze od deklaracji. Linia podziału przechodzi gdzie indziej. Walka toczy się na razie o coś innego.

Wielkie trusty stworzyły sytuację, w której prywatna własność i inicjatywa drobnego i średniego przedsiębiorcy jest w zupełności zależna od woli magnatów trustowych. To oni stwarzają koniunkturę. To oni swą gospodarką sprowadzają kryzysy. To oni określają ramy, w jakich ma się poruszać dopiero inicjatywa drobnego i średniego kapitału. Dla tego drobnego i średniego kapitału nic nie zmieni się na gorsze, jeśli te ramy jego działalności nie będą określane przez jakiś tajny konwentykiel Morganów czy Rockefellerów, a przez demokratyczne „państwo dla dobra ogółu". Będzie on miał więcej wpływu na to państwo, aniżeli na Morgana. Nieuniknione procesy przebudowy strukturalnej będą następowały z pewnym uwzględnieniem jego ściśle ludzkich interesów. Natomiast wiele zmieni się na lepsze i dla niego i dla stanowiących przecież większość ludności Stanów rzesz pracujących. Bo polityka tego państwa będzie się kierowała nie zyskiem kilku koncernów, lecz dobrobytem całości, będzie uważała za swój najwyższy cel podniesienie poziomu życia ogółu. Robotnik, farmer, pracownik umysłowy, drobny i średni przedsiębiorca przeciw rekinom wielkiego kapitału, przeciw trustom i koncernom — oto jak określilibyśmy treść społeczną New Dealu. Jest to polityka jeszcze w ramach kapitalizmu, ale z wytycznymi, obcymi już założeniom klasycznego kapitalizmu. Sprzeczność teoretyczna, ale wynikająca z realnego rozwoju amerykańskiej, i nie tylko amerykańskiej rzeczywistości.

Utopia? Być może, jeśli rozpatrywać naiwne, fantastyczne nieraz teorie zwolenników New Dealu. Pierwszy lepszy ekonomista europejski wykaże nam, jak na dłoni, gdzie tu są błędy, pomyłki i nieporozumienia. Będzie miał rację — w teorii. Tak, jak mieli by rację ci, którzy, sto pięćdziesiąt lat temu udowadnialiby jakobinom, że ich walka o wolność i równość ludzi jest utopią. Ale mimo to — jakobini mieli rację. Bo ich kierowana utopijnymi teoriami walka, przybliżyła nas bardziej do realizacji wolności, niż wszystkie wywody najkrytyczniejszych wobec ich utopizmu realistów. Podobnie i teraz nasz krytyczny, realnie myślący ekonomista nie zrozumiałby jednej rzeczy: że naiwne i czasem wręcz fałszywe teorie są tu tylko osłoną słusznej praktyki. Dla polityki typu New Dealu istnieją dziś realne przesłanki ekonomiczne, społeczne i polityczne nie tylko w Stanach. Wszędzie siły gospodarcze szamocą się bezradnie w sieci karteli i monopoli wielkiego i największego kapitału. Wszędzie cierpią od nich nie tylko robotnicy i pracownicy umysłowi, ale chłopi i rzemieślnicy, cierpi nawet drobny i średni kapitał. Wszędzie wszyscy gnębieni i wyzyskiwani przez kapitał finansowy, spotykają się w wspólnej walce o demokrację polityczną, wszędzie szukają oni sposobu jak demokrację polityczną zamienić w demokrację społeczną i gospodarczą. Teorie New Dealu są utopijne, ale zasadnicze jej wytyczne przynajmniej odpowiadają realnym potrzebom chwili, są realne nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Elementy tej polityki spotykamy niemal wszędzie tam, gdzie but faszyzmu nie przydeptał w ogóle wszelkich oporów przeciw panowaniu wielko-kapitalistycznych monopolistów.

Okres przejściowy? Niewątpliwie tak. Ale okres przejściowy, który może niesłychanie ułatwić przejście, nieuniknione przejście od jednego ustroju do drugiego. Nie znaczy to, by miał oszczędzić walk. Magnatom finansowego kapitału nie idzie o słowa, lecz o treść. Nie zrezygnują z obrony swych przywilejów. Ale ileż trudniej będzie im mobilizować na swój rachunek masy „szarych ludzi", jeśli hasło walki, zamiast ogólnego „przeciw własności", brzmi

---

Ostatni miesiąc głęboką żałobą zapisał się w kronice kultury polskiej, która w trzech różnych dziedzinach straciła trzech swych zasłużonych przedstawicieli. W Krakowie zmarł Karol Hubert Rostworowski, w Warszawie Tadeusz Grużewski, we Lwowie Kazimierz Twardowski.

Karol Hubert Rostworowski *poeta - dramatopisarz dał scenie polskiej szereg głośnych utworów, wzorowanych po części na Zygmuncie Krasińskim po części na Stanisławie Wyspiańskim, w wysoce artystycznej formie opiewających ideały zachowawczości społecznej i synowskiego przywiązania do kościoła.*

Tadeusz Grużewski, *publicysta i polityk. W okresie swej młodości — przed laty 35-iu — kolosalnym wpływem na młodzież ówczesną dorównywał Stanisławowi Brzozowskiemu, od którego różnił się mocno uwydatnionym akcentem tradycji narodowo - powstańczej. Wierny ideolog niepodległości, współpracował zrazu w „Przeglądzie Wszechpolskim", gdy ten stał jeszcze na gruncie walki z caratem, później, zerwawszy radykalnie z obozem wszechpolskim, pchniętym przez Dmowskiego na tory ugodowe, — stał się konsekwentnym i najsurowszym krytykiem narodowej demokracji, którą gromił za ugodowość polityczną i wstecznictwo społeczne.*

Kazimierz Twardowski, *pedagog i organizator polskiej myśli filozoficznej. Objąwszy katedrę w uniwersytecie J. K. we Lwowie w 1895 r. niestrudzenie wykładał do 1930 r., stworzywszy szkołę myślenia. Przez lat 35 budził bez przerwy i rozniecał wśród uczniów swoich zamiłowanie do nauk filozoficznych. Ogłosił wiele cennych prac z zakresu logiki, psychologii i z pogranicza teorii poznania, dał znakomite przekłady klasycznych dzieł z dziedziny filozofii. Żywym świadectwem twórczej działalności pedagogicznej Kazimierza Twardowskiego jest świetny poczet jego uczniów, chlubnie znanych dziś w nauce jako umysły doborowe i przodujące. Założył we Lwowie Polskie Towarzystwo Filozoficzne oraz miesięcznik „Ruch filozoficzny", którego redaktorem pozostawał Kazimierz Twardowski przez całe ćwierćwiecze.*

konkretnie i realnie: „przeciw trustom", „przeciw magnatom wielkiego i największego kapitału"? Po drugiej stronie Atlantyku odbywa się eksperyment, niezwykle dalekosiężny w skutkach, również i dla naszej, starej Europy.

Czy Roosevelt podoła zadaniu? Próżno bawić się w przepowiednie. Roosevelt zrozumiał już wiele. Zrozumiał, że prysło złudzenie o możliwościach „wyjścia na milionera" dla każdego Amerykanina. Zrozumiał konieczność gospodarki planowej. Zrozumiał konieczność powiązania demokracji politycznej z demokracją gospodarczą. Zrozumiał konieczność oparcia się na zorganizowanych farmerach i robotnikach. Nie zrozumiał dotąd, że istnieje jeden tylko sposób złamania n a s t a ł e sabotażu królów z Wallstreet: odebranie im władzy gospodarczej, którą sobie zdobyli z krzywdą stu dwudziestu milionów Amerykanów. Być może, jeszcze kilka „strajków okupacyjnych milionerów" z jesieni 1937 r., a zrozumie i to. Jeśli nie zrozumie tego Roosevelt, to zrozumie to lud amerykański. Bo mało mówi się w Europie o tym, że w masach ludowych Stanów dokonał się niebywały przełom psychiczny. Farmer amerykański wie dzisiaj, że w robotniku miejskim ma wiernego, jedynego sojusznika. Robotnik amerykański budzi się z niesłychaną szybkością do życia organizacyjnego. W ostatnich wyborach do Rad Miejskich na listy socjalistyczne w Nowym Jorku, Detroit, Chicago padło blisko 40% głosów. Liczba głosów socjalistycznych w Nowym Jorku wyniosła więcej niż ich zebrał socjalistyczny kandydat na prezydenta w całych Stanach! W związkach zawodowych C. I. O. robotnik murzyński, poniewierany dotąd i prześladowany, staje jako równouprawniony towarzysz wobec swego białego kolegi. Mówi się poważnie o tym, że wódz związków zawodowych Lewis zajmie miejsce Roosevelta, jako demokratyczny kandydat na prezydenta w r. 1940. Rodzi się nowa Ameryka.

Na walkę tej Ameryki demokracja europejska spoglądać musi z głębokim poczuciem solidarności. Choć dzielą nas od Stanów morza i kraje, zdajemy sobie w pełni sprawę ze znaczenia, jakie zwycięstwo, zwycięstwo ostateczne demokracji ludowej w Stanach mieć musi i dla walki demokratów europejskich. Nie w Jassach, ani w Kairze decydują się losy naszej cywilizacji. Nowy Jork i Chicago przeważą dziesięciokrotnie bałkańskie sukcesy bloku totalistycznego.

ROMAN LANG

List otwarty do D-ra A. Inslera,

redaktora „Nowego Głosu"

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając *Nowy Głos* i odnajdując na jego łamach tak częste apele do polskiej myśli państwowej, którą dziennik ten utożsamia słusznie z myślą demokratyczną, nie mogę oprzeć się chęci przesłania Panu kilku słów, jako Polak i demokrata, przekonany, że Państwo Polskie nietylko w brzmieniu Konstytucji, ale i w praktyce życia jest i być winno wspólnym dobrem wszystkich obywateli.

Wiem równie dobrze, jak Pan, że przeciwko tezie budowy tego dobra wspólnego zawzięte i uporczywe pracują siły. Jest jakiś tragiczny splot nieporozumień w tym, że w chwili, gdy Rzeczpospolita Polska potrzebuje jedności i zgody wewnętrznej w jak najszerszych masach swych obywateli na to, aby czoło stawić niebezpieczeństwom zewnętrznym, zła wola lub zła orientacja stara się coraz nowe kliny przeciwieństwa wbijać we wspólny organizm. Szczytem zaś złośliwego paradoksu bywa to, że najgłębiej kliny swe wbijają ci, którzy najgłośniej deklamują o potrzebie jedności w Państwie i społeczeństwie. Tak; wiem, jak sprężyste ręce pracują nad tym, aby siać w Polsce nienawiść i rozbrat tam, gdzie ich być nie powinno. Ale dlatego właśnie, że polityka siewu nienawiści jest tak czynna, chciałbym, aby poza nawiasem wątpliwości stanęły pewne założenia, drogie wszystkim obywatelom polskim, bez względu na różnice narodowości i wyznania.

Do takich założeń podstawowych należy przeświadczenie, że Państwo Polskie żyć, wzrastać w siłę i rozwijać się może jedynie w oparciu o te tendencje, którym zawdzięcza swą odbudowę.

Tylko z głową podaną naprzód, nie zaś obróconą wstecz, ku mrokom średniowiecza, Polska iść może ku wielkiemu przeznaczeniu. Tylko to, co uchroniło ją od zagłady w okresie niewoli, zapewnić jej może bezpieczeństwo, potęgę i rozkwit na drodze odzyskanej wolności.

A jakież to idee wiodły nas ku wyzwoleniu? Czy idea prześladowań religijnych, czy hasło deptania po karku mniejszości narodowych, czy żagiew szowinizmu, wzniecona przeciw dyssydentom, czy wreszcie negacja praw człowieka i obywatela? Nie! Hasła te nie były hasłami ani Kuźnicy Kołłątajowskiej, ani Kościuszki, ani rządów powstańczych w r. 1831 i 1863. Nie były też hasłami Legionów, ani tych pod Dąbrowskim, ani tych pod Piłsudskim. Przeciwnie: były one programem rządów zaborczych, które niosły Polsce ucisk, ruinę i poniżenie. Były metodą tych, którzy poprzysięgali nam wynarodowienie, rugi i wywłaszczenie z ziemi ojczystej, wyzucie z wiary, obyczaju i mowy ojców.

Naród polski nie po to wydźwignął się z ghetta niewoli, aby strącać w ghetto innych za to tylko, że pod wspólnym żyjąc dachem państwowym, chcą pielęgnować własną religię, narodowość i kulturę. Nie ghetto dla różnowierców lub innoplemieńców, ale równość prawa i warunków bytu dla wszystkich obywateli jest zasadą, która, odpowiadając najlepszym polskim tradycjom, wskazuje Polsce najpewniejszą drogę rozwoju. Oto myśl, która stałym, niewzruszonym ogniwem łączy demokrację polską z demokracją żydowską, jak również z demokracją ukraińską, białoruską i litewską.

Ciosy otwarte i tajemne podkopy, które w nią biją, powinny skupiać nasze siły, ale nie powinny nas dziwić. Antysemityzm jest dzisiaj najpotężniejszym taranem reakcji społecznej. Demokracja żydowska, zarówno jak demokracja polska, powinny rozumieć, że gdyby nawet wszyscy Żydzi jutro znikli z powierzchni świata, napięcie reakcji nie zmniejszyłoby się ani o jeden stopień. Bo taran antysemityzmu, taran rasizmu, mierzy w Żydów, ale bije w same podstawy wolności i równouprawnienia wszystkich obywateli Państwa. Jakże wymowny pod tym względem jest fakt, że Hiszpania, gdzie reakcja z najgwałtowniejszą wystąpiła ofensywą, z ofensywą krwawej rebelii, jest krajem, z którego Żydzi wywędrowali już przed kilkuset laty!

Antysemityzm, istotnie, tam, gdzie go się rozpala, jest tylko jedną z form tego sztucznego antagonizmu, którym reakcja przesłonić usiłuje przeciwieństwa rzeczywiste: przeciwieństwa między wyzyskiwanym a wyzyskiwaczem, między łdziercą a ofiarą: przeciwieństwa, które

wyrównać zdołają tylko wielkie i radykalne reformy gospodarczo - społeczne. Otóż, po stronie wyzyskiwanych znajdujemy zarówno Polaków, jak Żydów. I tak samo po stronie wyzyskiwaczy. To też antysemityzm w swej mechanice odwracania energii społecznej mas od jej naturalnych celów jest niczym innym, jak grą w fałszywe karty.

Wytyka on zbytek i pasożytnictwo Żyda - bankiera, ale milczy o niedoli i upośledzeniu biedoty żydowskiej, grabionej przez kapitał finansowy narówni z ubożyzną polską i chrześcijańską. Biada nad nędzą i ciemnotą chłopa polskiego, ale znów milczy o zbytku i pasożytnictwie polskiego obszarnika zasiadającego w radzie nadzorczej kartelu obok finansistów żydowskich. Antysemityzm, słowem, jest jednym z aspektów solidarności pewnych sfer, wspólnym związanych przywilejem a żerujących na masach zarówno polskich, jak żydowskich.

W jednym z ostatnich artykułów, podpisanych przez Pana, napotkałem zdanie następujące: „Rozszalała agitacja zalewa nie tylko nory propagandy, ale spływa z wysokiej trybuny jadem, zatruwającym dusze polskie i żydowskie. Prostak żydowski gotów identyfikować pewnych reprezentantów polskiego ludu z ludem polskim i żal do takich jednostek przenieść mógłby na ogół. To byłoby krzywdą dla Żydów i szkodą dla Polski".

Przeciw tej wspólnej krzywdzie walczyć musi pospołu demokracja polska i żydowska. Walczyć musi dzisiaj z tą samą odwagą i wytrwałością, z jaką niegdyś przeciwstawiał się jej na redukcie *Przedświtu* młody Józef Piłsudski, gdy widząc w antysemityźmie główne znamię polityki caratu, piętnował go jako „negowanie cywilizacji i nauki, jako bezwstyd w idealizowaniu okrucieństwa i nędzy umysłowej". Te słowa *Przedświtu*, który był przedświtem naszej niepodległości, upewniają nas, że, walcząc z szowinizmem antysemickim, kroczymy szlakiem rdzennej tradycji polskiej. Ale słowa te jednocześnie i zobowiązują: zobowiązują do skali wysiłku, na który zdobywać się musi człowiek i obywatel, walczący o miejsce należne sobie w ojczyźnie, o miejsce należne ojczyźnie swej wśród ludzkości.

Proszę przyjąć szczere wyrazy poważania *Wincenty Rzymowski.*

Warszawa, 22.II. 1938 r.

NA WIDOWNI POLSKIEJ I ŚWIATOWEJ

ZAPŁATA ZA BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Zaraz na początku rebelii hiszpańskiej Watykan stanął po stronie generała Franco. Episkopat hiszpański z kardynałem Segurą na czele błogosławił „katolickim" Maurom, niosącym Hiszpanii wyzwolenie od rządów demokratycznych, za którymi stoi olbrzymia większość obywateli tego najbardziej w Europie kotolickiego kraju. W Polsce sfery klerykalne, nawet przeciwne faszystoswkiemu totalizmowi, jeszcze dziś nie ochłodły w swym zapale dla gen. Franco.

Tymczasem, jak doniósł „Robotnik", zgromadzenie Jezuitów hiszpańskich, przebywających na terytorium podbitym przez najeźdźców, postanowiło opuścić „narodową" i „katolicką" Hiszpanię generała Franco. Okazuje się, że ten mąż opatrznościowy i dla naszych braciszków z Niepokalanowa **nie pozwolił na odczytanie w kościołach encykliki papieskiej**, mówiącej o prześladowaniu katolików w Niemczech. Gdy Jezuici zażądali od swego dotychczasowego pupila, żeby uszanował wolność słowa **papieskiego**, obrońca wiary katolickiej zwrócił się w tej sprawie po instrukcje do... Berlina, skąd oczywiście przyszedł zakaz. I w kościołach „narodowej" Hiszpanii nie odczytano encykliki papieskiej, bo nie życzył sobie tego Berlin. W takiej sytuacji Zakon Ignacego Loyoli uznał dalszy pobyt na „wyzwolonych z bezbożnictwa" terenach za bezcelowy.

Ale w Polsce klero-faszyzm dalej będzie zachwalał opatrznościowego generała Franco.

KRUK KRUKOWI...

Z komunikatów i komentarzy prasy codziennej znają czytelnicy wewnętrznopolityczny i międzynarodowy aspekt ostatnich wydarzeń w Austrii, zamieniających ten kraj w protektorat III Rzeszy. Każdy rozumie, czym grozi pokojowi usadowienie się hitleryzmu nad Dunajem i okrążenie republiki Czechosłowackiej.

Na tym miejscu chcemy jednak wskazać na ważną naukę, jaka płynie z doświadczenia austriackiego. Od czterech lat istnieje w Austrii dyktatura „narodowa". Klero-faszyzm austriacki, poparty przez Mussoliniego i pobłogosławiony przez kardynała Innitzera, opanował rządy na drodze krwawej rozprawy z demokracją, z robotniczym Wiedniem. Rządził tymi samymi metodami, którymi posługuje się każda tyrania. Był zbrojnym ramieniem najbardziej reakcyjnego i zawziętego w nienawiści do ludu odłamu warstw posiadających.

W polityce zagranicznej rządy Dollfussa, a potem Schuschnigga posłusznie wykonywały rozkazy Mussoliniego.

W szczególnych warunkach austriackich, przy silnej tradycji katolickiej tamtejszego chłopstwa i drobnomieszczaństwa, faszyzm przybrał postać klerykalną. Wodzowie jego wyszli ze starej, zasiedziałej partii chrześcijańsko-społecznej, dawnej ostoi wstecznictwa. Zasady encykliki „Quadragesimo Anno" ogłoszono jako oficjalny program społeczny klero - faszyzmu austriackiego. Totalne rządy Schuschnigga nie tylko cieszyły się pełnym poparciem episkopatu austriackiego, ale nie raziły bynajmniej tych sfer katolickich zagranicą które znajdują się w opozycji do totalizmu. Trzeba stwierdzić, w imię prawdy, że np. w Polsce prasa, zbliżona do Stronnictwa Pracy, ostro i wyraźnie zwalczająca systemy totalne, nigdy jednak nie znalazła słów potępienia dla rządów klero - faszyzmu austriackiego

Co gorsza, istnieli naiwni (i nienaiwni), którzy sądzili, że klerykalny totalizm Schuschnigga zabezpiecza Austrię przed rasistowskim nacjonalizmem Hitlera, że stanowi skuteczną tamę dla ekspansji Trzeciej Rzeszy w basenie naddunajskim. Istotnie, przez cztery lata faszystowska Austria, podtrzymywana mocno przez Mussoliniego, opierała się hitleryzmowi, który podminowywał ją od wewnątrz i naciskał na nią z zewnątrz. „Zbawca ojczyzny" Dollfuss, zginął zamordowany przez nasłanych konkurentów, których potem pozbawiono możności legalnego działania i zaczęto prześladować. W przeznaczonym dla antytotalistów obozie koncentracyjnym w Woellersdorf przebywali też hitlerowcy a samo jego założenie uzasadniano potrzebą zwalczania hitleryzmu, choć, jak łatwo zrozumieć, stał się on masową katownią dla socjalistów.

Ale faszyzm nie jest zaporą przeciw faszyzmowi. I w starciu słabszy faszyzm zawsze ulegnie silniejszemu konkurentowi. Dyktatura Schuschnigga tak długo dawała Austrii złudną „niepodległość", jak długo zależało na tym Rzymowi, którego rozkazy Schuschnigg wypełniał. Postępujące z każdym dniem zbliżenie między Hitlerem i Mussolinim, na tle nowego, wspólnego już planu podboju świata przez faszystowski trójkąt, zmie-

niło radykalnie sytuację. Schuschnigg musiał ukorzyć się przed Hitlerem. Arcykatolicka dyktatura poddała się gnębicielom katolików, konfiskującym encykliki papieskie.

Wyznawców „łagodnego" klero-totalizmu austriackiego spotkał zawód — jak musi spotkać każdego, kto w jednej dyktaturze faszystowskiej szuka ochrony przeciw innej, znajdującej się w ofensywie, przeciw innemu faszyzmowi, sięgającemu po władzę. Bo agresywnemu, rozporządzającemu tłumami fanatycznych wyznawców i nacierającemu z wszystkich stron faszyzmowi nigdy nie oprze się dyktatura osamotniona w społeczeństwie i oparta tylko o niepopularną biurokrację. A rządy Schuschigga niczym innym nie były, bo być nie mogły. Znienawidzone od samego początku przez rzesze pracujące, traciły szybko dawne oparcie w chłopstwie i drobnomieszczaństwie. Opozycja demokratyczna rosła. Coraz trudniej było rządzić w osamotnieniu. Nie pozostało wkońcu nic innego, jak poddać się Hitlerowi, zwłaszcza wobec postawy Włoch.

Nawet olbrzymie, zdawałoby się, trudności psychologiczne nie stanęły na przeszkodzie hitleryzacji Austrii. Przecież między oboma faszyzmami była zaciekła, długoletnia nienawiść, był trup Dollfussa, był obóz w Woellersdorfie, były szubienice, na których powieszono kilku hitlerowców austriackich. Wspólność ideowa totalizmu, wspólna nienawiść do demokracji i wspólny strach przed nią umożliwiły jednak przerzucenie mostów nad wykopaną w ciągu czterech lat przepaścią. Zrozumieli się, bo mówili wspólnym w grucie rzeczy językiem.

P. S. Już po napisaniu powyższych uwag w zbliżonej do Str. Pracy „Nowej Prawdzie" ukazał się artykuł, w następujący sposób oświetlający wypadki austriackie:

„W ten sposób zakończyły się dzieje eksperymentu (!) podjętego w Austrii dokładnie przed 4 laty. Uznano tam wówczas, że najpewniejszą zaporą przeciw fali hitleryzmu jest nie oparcie się o najszersze masy ludności, ale... oddanie się pod protektorat możnego sąsiada z południa. Licząc się z upodobaniami tego sąsiada, zniszczono w państwie wolności demokratyczne, rozwiązano stare partie, łudząc się, że życie publiczne przyzwyczajonego do swobód politycznych kraju uda się zamknąć w ramach monopartyjnego „frontu patriotycznego". Eksperyment, chociaż w łagodnej (?) przeprowadzony formie, zawiódł zupełnie. Mas w całości z reżymem nie pogodził, a włoski protektor w chwili krytycznej... umył ręce. Potwierdziło się jeszcze raz, że każdego, kto chce wypędzić diabła przy pomocy belzebuba, na końcu tej ryzykownej drogi czeka zawsze — klęska!".

Nie sposób oczywiście zgodzić się z poglądem, że Dollfuss, urządzając robotnikom krwawą masakrę, chciał taką drogą po prostu postawić tamę hitleryzmowi, czyli... obronić demokrację! I że „łagodny" klero-faszyzm nie wynikał z najgłębszych tęsknot rodzimej, austriackiej reakcji, lecz został wprowadzony tylko na życzenie Mussoliniego. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z próbą wybielenia dyktatury faszystowskiej tylko dlatego, że była pobłogosławiona przez najwyższe czynniki kościelne. Ale z poglądem „Nowej Prawdy", że żadna, pozornie najbardziej „oryginalna" dyktatura nie tylko nie stanowi tamy dla hitleryzmu, ale przeciwnie, toruje mu drodę" — zgodzi się każdy demokrata. Jeżeli dobrze zrozumieliśmy intencję artykułu — katolicka „Nowa Prawda" chciała powiedzieć, że k a ż d y faszyzm, także w katolickiej odmianie, prowadzi do katastrofy i że tylko demokracja zabezpiecza niepodległość kraju i wolność jego obywateli. I to stanowisko jest niewątpliwie słuszne.

OGRANE PŁYTY CZYLI DYSKUSJA O MASONACH.

Wrogowie wolności i ustroju republikańskiego prześcigali się zawsze w zwalczaniu masonerii. Nie dawał mu spokoju fakt, że mogą się znaleźć ludzie, lubujący się w rozpamiętywaniu wielkich haseł wolnościowych. Okoliczność, że polska masoneria ma według świadectw historycznych, niezwykle imponującą tradycję a większość polskich mężów stanu, wodzów i pisarzy należała do niej na przełomie dwóch wieków w niczym nie zdołała przebłagać naszych domorosłych czcicieli Abdery i ich wpływowych protektorów. Wojuje się tym hasłem: masoni! masoni! i — coprawda — w największe popada się kłopoty, gdy przychodzi do realnej dyskusji na ten temat. W sejmie ostatnio poseł, interpelujący prezesa Rady Ministrów, dwa wysunął zarzuty przeciw masonerii zagranicznej, że 1-o szerzy pacyfizm i 2-o dąży do zniesienia granic państw poszczególnych. Zarzuty prawdziwie małomiasteczkowe. Jeśli przez pacyfizm rozumiemy dążność do utrzymania pokoju to jest to obowiązkiem każdego człowieka, mającego swój rozum w porządku, a jeśli przez pacyfizm rozumie się dążność do rozbrojenia to należałoby dowiedzieć się, w których to państwach ta dążność się przejawia. Jeśli w uginających się pod ciężarem zbrojeń Europie i Ameryki istnieje dążność do rozbrojenia — to wpływy masonerii są — żadne. A zniesienie (?) granic państw? Przecież to są majaczenia, których nie traktowałby nikt poważnie, gdyby się przejawiły.

Ale nie powiedział poseł Dudziński, o co mu naprawdę chodzi. Mówi się: masoni a myśli się demokracja, mówi się: międzynarodowość a myśli się parlamentaryzm. Tak! Zawsze w ten sam sposób zaczynano. Uderzano w demokrację, poczynając od tej nieszczęsnej w Polsce już nie istniejącej Ligi praw człowieka i obywatela. Iluż to ludzi w Europie przedwojennej zawdzięczało tej lidze wolność lub przynajmniej lepsze traktowanie. Respektowano jej działalność jako działalność humanitarną. Wydobywano więźniów z więzień tureckich, rosyjskich, amerykańskich, chińskich. Zdawałoby się, że taka organizacja powinna, w ramach swych humanitarnych celów działając, znaleźć trochę wyrozumienia u narodu, który niedawno jeszcze nie miał rozbudowanego państwa.

I gdzieindziej zaczęto od Ligi praw człowieka a skończono na rozwiązaniu chrześcijańskich związków młodzieży, gdzieindziej wytępiono wszelkie instytucje podejrzane o inspiracje wolnościowe i zakazano młodzieży uczęszczać do kościoła. Łatwo kraj zamienić w koszary, ale wkrótce potem przychodzi etap dalszy, bo ci, którzy spodziewali się, że będą w koszarach komenderować, otrzymują inne gorsze nieco funkcje i ktoś im krzyknie nad uchem: od komendy jesteśmy my! Po pierwszej czystce przyjdzie druga i t. d.

Dyskusja sejmowa takie właśnie robiła wrażenie, że z lamusa argumentów wydobyto najbardziej wyświechtane, aby przyłączyć się do chóru grabarzy wolności europejskiej.

Od wielu już lat na najniższym poziomie sporów politycznych operuje się straszakiem masońskim. Widmo masonerii jest tą dymną zasłoną, poza którą zawsze kryją się knowania reakcji.

P. S. Zabawnym szczegółem w wystąpieniu posła Dudzińskiego, jak wiadomo, jednej z podpór b. sanacji, jest to, że wszyscy niemal wymienieni przezeń z nazwiska masoni (nie wiemy — prawdziwi czy rzekomi) są to obrońcy dzisiejszego systemu.

DOKOŁA P. GOGI.

Upadek rządu rumuńskiego „przełomu narodowego" jest niewątpliwie faktem pozytywnym ze stanowiska demokracji. Nie znaczy to, że w Rumunii zwyciężyła demokracja, albo że Rumunia bodaj, co się tyczy polityki zagranicznej, wyrwała się z kręgu wpływów faszystowsko - wojowniczego „trójkąta". Nie, „stare potęgi", które wysunęły p.

Gogę nadal mocno trzymają ster władzy, a choć w polityce zagranicznej mamy pewne odchylenia, to jednak natura ciągnie wilka do lasu, a reakcję starego typu do nowoczesnej reakcji „trójkąta". Ostatnie wypadki w Austrii są tego dobitnym dowodem. Mimo to, powtarzamy, jest faktem pozytywnym, że po pierwsze, nawet faszyzmowi rządzącemu nie udało się stworzyć choćby pozorów ruchu masowego, wypowiadającego się za nim, i że pozycja międzynarodowa „trójkąta" uległa na tym odcinku pewnemu, niewielkiemu i prawdopodobnie przejściowemu, ale mimo wszystko — osłabieniu.

Toteż nasza prawica wszelkich odcieni nie może przeboleć tej porażki. Że endecja i oenery wszelkich maści przywdziały grubą żałobę, to rzecz zrozumiała. Ale i „Gazeta Polska" nie może ukryć swego złego humoru. Znalazła przy tym oryginalny sposób wyrażenia swego niezadowolenia. Oto jej korespondent paryski, p. K. K. (Korab-Kucharski) podaje w telefonogramie opinię „większości prasy paryskiej" o fiasku p. Gogi. Opinię tę ma wyrażać pismo „L'Information" piszące, że Goga upadł skutkiem nacisku pewnych kół, rządzących eksportem rumuńskim, personifikowanych przez p. L. Dreyfusa. Ta to „dyktatura handlowa" miała zlikwidować niedoszłego kandydata na dyktatora. Słowem „Izraelu! Zwyciężyłeś!" — jak miał powiedzieć p. Goga. I to ma być opinia „większości prasy francuskiej"!

Przyznajemy, że to nieco za dużo. Wiemy, że dla „Gazety Polskiej", tak samo, jak dla „Warszawskiego Dziennika Narodowego" nie są „organami prasy francuskiej" takie pisma, jak „Oeuvre", „Populaire", „Ere Nouvelle' czy „Peuple". Ale od kiedy to interdyktem obłożono n. p. „Temps", stary schneidrowski „Temps", który zgoła inaczej oceniał koniec p. Gogi? Od kiedy to „Agence Economique" p. p. Reynaud i Flandin, ta „Agence", która o ministrze spraw zagranicznych p. Gogi mówiła jako o „un homme tarè" podpadła „folksfrontowym" wpływom? Od kiedy to akurat „Information", organ p. F. de Brinon, prezesa Towarzystwa Francusko Niemieckiego, niedawnego gościa honorowego kanclerza Hitlera uchodzi za miarodajny wyraz „większości prasy francuskiej"? Niedługo dowiemy się zapewne, że i u nas w Polsce miarodajnym wyrazem opinii publicznej jest łódzkie „Co słychać", organ drukujący in extenso mowy pp. Goebbelsa, Streichera i Rosenberga.

Ale i inne jeszcze cuda dzieją się przy trumnie panagogowego rządu. Oto morżowa „Nowa Prawda" omawiając upadek p. Gogi, stwierdzając z usprawiedliwionym zadowoleniem, że stanowi on niepowodzenie totalistycznego „trójkąta", wypowiada równocześnie szereg zdań, doprawdy dziwnie brzmiących w organie choćby najbardziej umiarkowanej demokracji. Oto polemizując słusznie z „monopartyjną i opartą na wyraźnej mniejszości „konsolidacją" typu Goga — Cuza" pismo apoteozuje — rząd Cristea! Jest to podług niego — cytujemy artykuł „Koniec epopei" z dn. 12 b.m. — „forma konsolidacji rumuńskiej, oparta o zjednoczenie wszystkich, żywych i czynnych sił politycznych kraju, ożywionych wspólną myślą służenia narodowi i państwu".

Stwierdzamy: rząd Cristea uniemożliwił, praktycznie biorąc, wszelką działalność stronnictw politycznych kraju. Rząd Cristea wprowadził w Rumunii cenzurę, równą chyba cenzurze niemieckiej i włoskiej. Rząd Cristea spotyka się ze zdecydowanym oporem demokracji rumuńskiej z partią caranistów, odpowiednikiem naszego Stronnictwa Ludowego na czele. Korespondent bukareszteński tejże samej „Nowej Prawdy" określa ten rząd jako „zamaskowaną dyktaturę wojskową". A oto „Nowa Prawda" w niesprostowanym, zasadniczym artykule określa go jako „zjednoczeznie wszystkich żywych i czynnych sił politycznych kraju".

Patriarcha na czele rządu przecież sprawia cuda!

KSIĄŻKI NADESŁANE

Dr. B. Chorążycki: „Stulecie epokowej pracy wielkiego lekarza i przyrodnika". Odbitka z „Warszawskiego Czasopisma Lekarskiego". Warszawa 1937.

Lola Szereszewska: „Gałęzie". Poezje. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1938.

Centralna Komisja Oszczędnościowo-Oddłużeniowa dla Samorządu: Sprawozdanie z akcji oddłużeniowej samorządu terytorialnego. Warszawa 1937.

Alfred Wizner: „Ślady czasu". Poezje. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa. 1938.

Maria Ukniewska: „Strachy". Powieść. Przedmowa *Mariana Hemara.* Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Warszawa 1938.

Roger Martin du Gard: „Piękne czasy". Z cyklu Rodzina Thibault. Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Z upoważnienia autora przełożył i wstępem opatrzył *Paweł Hulka-Laskowski.* Warszawa 1938.

Wydawnictwa J. Przeworskiego:

Adolf Nowaczyński: „Słowa, Słowa, Słowa"... Warszawa 1938.

A. J. Cronin: „Gwiazdy patrzą na nas". Powieść. Przełożył *Józef Szpecht.* Warszawa 1938.

Sigrid Boo: „Kto się śmieje ostatni". Powieść. Przełożyła *Aniela Waldenbergowa.* Warszawa 1938.

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

Z KLUBU DEMOKTATYCZNEGO

„Staraniem Sekcji Młodych, w Krakowskim Klubie Demokratycznym wygłosił odczyt p. Tadeusz Pilc na temat „Istota demokracji". Zebrani uchwalili następującą między innymi rezolucję: „Na drodze do demokratyzacji stosunków w Polsce najpilniejszą sprawą chwili dzisiejszej jest porozumienie współpraca ugrupowań demokratycznych. Platformą tej współpracy winien stać się wszechstronny program demokratyczny, wysuwający obok zagadnień politycznych i aktualnych postulatów politycznych jak przede wszystkim hasło nowych 5-cioprzymiotnikowych wyborów, również elementy ustroju gospodarczego w duchu sprawiedliwości społecznej, realizowanej w myśl dążeń mas pracujących".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się

P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4632 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.